ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 12(25) • Grudzień 2007 • Cena 2,00 zł

Ta jedyna, jedyna niepowtarzalna noc
zmieniła wszystko.
Prosta i zwyczajna jak proste
i zwyczajne było przyjście na świat
oczekiwanego.

By wszystko wydawało się proste i łatwe,
by spełniały się marzenia i pragnienia,
by nie dotykały choroby i smutki.

Czarowności wigilijnego misterium,
wielokrotnie powtarzanego w odbiciu
bombki na choince, czułości rodzinnej
i szczęścia wniesionego przez wędrowca,
także wielu satysfakcji w Nowym 2008 Roku

Wszystkim Mieszkańcom Ziemi Złotoryjskiej Życzy
Zarząd TMZZ

ISSN 1897-4023

Polowanie na przestępców

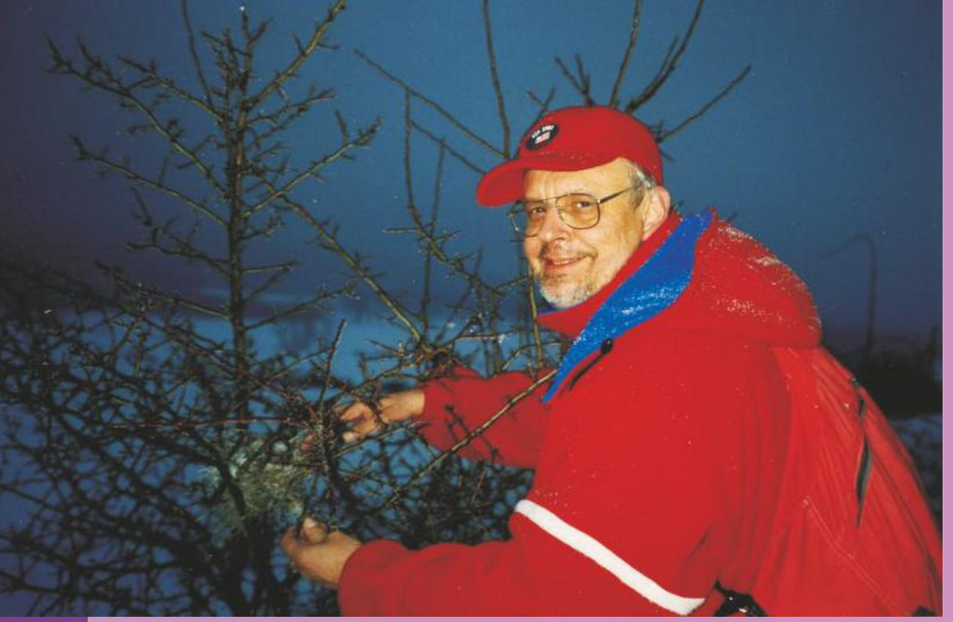

Z Adamem Michno, szefem złotoryjskiej Prokuratury Rejonowej, nikt chyba jeszcze nie zdołał przeprowadzić wywiadu. Sam budynek prokuratury leży w uroczym zakątku Starówki ale jak gdyby na uboczu. Niektórzy zresztą wolą omijać go z daleka. Co kryje się za niekiedy zbyt poważną – jak określają jego współpracownicy – i na pierwszy rzut oka nieprzystępną miną Prokuratora?
Adam Michno ma 57 lat i mieszka w Złotoryi od 1979 roku. Żona Urszula do niedawna pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Dzieci kontynuują ojcowskie wykształcenie: Joanna, po studiach prawniczych i aplikacji prokuratorskiej, stara się o umieszczenie na liście adwokackiej, Wojciech również ukończył prawo i jest kierownikiem działu marketingu w firmie CCC.

Roman Gorzkowski: *Zapewne trudno pogodzić tak odpowiedzialną pracę zawodową z pozazawodowymi zainteresowaniami, ale nie samym chlebem…*

Adam Michno: Pasjonuje mnie myślistwo. Można powiedzieć, że od dziecka marzyłem, żeby zostać myśliwym. Zawdzięczam to dziadkowi, który był strażnikiem łowieckim i wędkarskim w powiecie nowotarskim. Już jako prokurator, po zdaniu odpowiednich egzaminów, stałem się „legalnym" myśliwym. Potem byłem selekcjonerem i egzaminatorem z zakresu łowiectwa oraz przez dwadzieścia lat wojewódzkim rzecznikiem dyscyplinarnym.

Widzę na półce w Pana gabinecie Prawo myśliwskie. Czyżby myśliwska praktyka przydawała się w pracy zawodowej?

Jak najbardziej. Gdy zdarzają się przypadki kłusownictwa, niekiedy nie muszę np. powoływać biegłego, żeby u podejrzanego zrobić selekcję trofeów myśliwskich.

Członkowie PTTK znają Pana również ze szlaków turystycznych…

To drugie hobby od początku związane było z górami a także z dziadkiem, który mieszkał na Spiszu niedaleko Bukowiny Tatrzańskiej. Tam właśnie stawiałem pierwsze kroki w górach, aby później zostać przewodnikiem turystycznym.

Czy Pana rodzina podziela zainteresowania myśliwskie i turystyczne?

Powiedziałbym że toleruje. Natomiast z żoną od lat metodycznie i sukcesywnie zwiedzamy Polskę, przygotowując się do tego starannie na podstawie map i przewodników.

Jaki obszar leży w gestii Prokuratury Rejonowej w Złotoryi?

Obejmuje miasto i gminę Złotoryja, miasto i gminę Świerzawa, miasto Wojcieszów oraz gminy Pielgrzymka i Zagrodno a także miasto i Gminę Chojnów. W okręgu dolnośląskim jesteśmy jedną z pięciu prokuratur. W Złotoryi pracuje sześciu prokuratorów.

Ile rocznie spraw wpływa do prokuratury? Ile czasu średnio zajmuje prokuratorom rozpatrywanie jednej sprawy?

Wpływa około 2 i pół tysiąca. Każdą zajmujemy się średnio około trzech miesięcy.

To oznacza, że w ręce każdego prokuratora trafia rocznie około 420 spraw. Ile z nich jest „wygranych", czyli takich, które kończą się w sądzie po Waszej myśli?

Procent uniewinnień jest znikomy, ale uniewinnienia wcale nie świadczą o złym prowadzeniu sprawy. Czasami dla pokrzywdzonego ważniejsze jest uzyskanie wyroku uniewinniającego, bo w ten sposób doszło do kontroli sądowej, niż umorzenie sprawy przeze mnie w toku postępowania przygotowawczego i odebranie szansy na to, aby dowody ocenił obiektywny sąd.

Jakie „przegrane" sprawy spędzają sen z oczu prokuratorom? A może ktoś poskarżył się na Waszą pracę Trybunałowi Praw Człowieka?

Na przykład napady rabunkowe, których nie jesteśmy w stanie wystarczająco dla sądu udowodnić. Czasami następuje zmiana kwalifikacji prawnej czynu i dochodzi do tego, że sąd skazuje nie za to, o co my oskarżamy. Najbardziej nie lubimy porażek w takich najdrobniejszych sprawach, które są najboleśniej odczuwane przez poszkodowanych, jak choćby niepłacenie alimentów, co powoduje bezkarność niektórych sprawców. Staramy się takie sprawy ścigać w sposób wyjątkowo sumienny. Właśnie większość przestępstw na naszym terenie to przestępstwa drobne a zarazem najbardziej uciążliwe dla społeczeństwa i stanowiące duże zagrożenie. Do Trybunału w Strasburgu nie wpłynęła żadna skarga.

Czy można zdradzić niektóre z najciekawszych spraw, prowadzonych tutaj w ciągu ostatnich lat?

Co jest ciekawe dla Czytelników, nie musi być ciekawe dla prokuratora. Interesująca jest taka sprawa, w której nie wiadomo od początku, kto jest sprawcą, a w toku żmudnego procesu zbierania dowodów dochodzi do jego ustalenia. W większości spraw ciężkiej wagi, np. zabójstw czy gwałtów, sprawcy wywodzą się z kręgów mniej więcej zamkniętych i pozostaje wobec tego „tylko" kwestia ujawnienia tej osoby.

Czy działają tutaj mafie lub gangi?

Proszę mi tego nie życzyć! Odpukać, ale nasze miasto nie zna takich przypadków.

A może gościnnie dał się we znaki naszej uroczej miejscowości jakiś gang zamiejscowy?

Były jakieś drobne sprawy dotyczące zbierania haraczy z lokali gastronomicznych, ale szybko sobie z nimi poradziliśmy.

Na jakie współpracujące w Wami instytucje prokuratorzy narzekają najbardziej? Czy zdarza się, że policja zaniedba na przykład zabezpieczenie dowodów?

Nie narzekamy na nikogo. Częściej denerwuje nas ludzka bezmyślność, brak logiki i konsekwencji. Człowiek jest zawsze omylny, myślę, że i my nie zawsze jesteśmy doskonali i nie ma powodu, aby zwalać „winę" na innych. Proces dochodzenie do prawdy sądowej jest długi, uczestniczy w nim wiele podmiotów i na każdym etapie mogą zdarzyć się jakieś niedociągnięcia. Jestem tutaj po to, aby dopilnować, by do nich nie dochodziło. Nie ma rozdźwięków we współpracy z sądem i policją. System polityczny powoduje jednak, że następują dość częste zmiany na stanowiskach kierowniczych, które nie zawsze są szczęśliwe dla tych organów i prowadzonych spraw.

Od kiedy kieruje Pan złotoryjską prokuraturą?

Od 1979 r., wcześniej byłem zastępcą prokuratora powiatowego w Legnicy. Nie lubię jednak mówić o tego rodzaju datach. Dla niektórych jestem tutaj za długo a dla innych za krótko. Uważam, że jeśli prokurator nie jest spoufalony z ludźmi zamieszkującymi teren, na którym pracuje, to jeżeli pracuje długo, ma taką ciągłość spraw, że czasami wystarczy konkretne nazwisko, aby wiedzieć, czy ten ktoś mógł popełnić zarzucany mu czyn.

Na Pański długi staż można patrzeć z podziwem, przecież po drodze były różne weryfikacje. Czy dużo Pańskich rówieśników po fachu pracuje równie długo na takich stanowiskach?

Zajmuję się pracą a nie polityką. Robię to, co do mnie należy. A jeśli chodzi o kolegów z długim stażem kierowniczym, to jest ich niewielu.

Może Pan więc porównać pracę prokuratury w dwóch systemach politycznych…

Poprawiamy się, jeśli chodzi o sprzęt – mamy profesjonalne aparaty fotograficzne i kamery…

Z pewnością zorientował się Pan, że pytanie nie dotyczyło sprzętu!

Jeżeli chodzi o ludzi, to niestety są oni coraz młodsi i nie zawsze lepsi, ponieważ nie ma czasu na ich wyszkolenie. Nie dotyczy to prokuratorów, ponieważ mają swój cykl szkoleniowy i bez studiów oraz egzaminu państwowego nie można być prokuratorem. Dotyczy to jednak policji, to tam niestety są braki nie tylko kadrowe. Policja nie jest w stanie wyszkolić odpowiedniej liczby policjantów. Chociaż z drugiej strony- nie zawsze jest ważna ilość ukończonych szkół a doświadczenie, które oczywiście przychodzi z czasem.

Czy nie czuje Pan wyrzutów sumienia z powodu prowadzonej w 1984 r. sprawy podpalenia samochodu arcybiskupa Henryka Gulbinowicza przez funkcjonariuszy SB? Obszernie pisaliśmy o tej sprawie w „Echu Złotoryi" w maju tego roku. Tutejsza prokuratura umorzyła postępowanie w oparciu, jak się potem okazało, o fałszywe ekspertyzy. Nie pojawiło się jednak podejrzenie, że coś nie jest w porządku? Tak się złożyło, że mieszkałem wtedy w pobliżu plebanii i gdybym wówczas wyszedł na balkon, prawdopodobnie widziałbym całe zdarzenie.

Arcybiskup Gulbinowicz od początku twierdził, że opinie są fałszywe, zakładając iż samochód tej klasy nie mógł zostać zniszczony inaczej niż przez podpalenie. Zleciłem wobec tego ekspertyzę Szkole Głównej Służby Pożarniczej a więc najwyższej fachowej instancji. W toku postępowania dowodowego ujawniłem także rolę samochodu milicyjnego na miejscu przestępstwa, co sprawcy starali się zatuszować. Dało to później szansę na dalsze prowadzenie sprawy. Proszę pamiętać, że ci, którzy dokonali tego przestępstwa, występowali potem w roli „ścigających" sprawców. Myślę, że ani Henryk Gulbinowicz ani ks. proboszcz Jakubowski nie mieli do mnie pretensji, ponieważ zrobiłem to, co mogłem zrobić w tej sytuacji. Nikt nie umarzał śledztwa na siłę.

Czy przed 1989 r. lub podczas stanu wojennego zdarzało się tutaj prowadzić jakieś sprawy o przestępstwa polityczne?

Na tym terenie nie, oprócz krótkiej sprawy wywieszenia antypaństwowych haseł w Wilkowie. W stanie wojennym także nie było takich postępowań. Gdyby były, to teraz byłbym w ciężkiej sytuacji.

Wracając jednak do dwóch systemów politycznych, czy występuje teraz problem samodzielności czy podległości prokuratury? Media donoszą o jakimś odgórnym sterowaniu i naciskach a także o korupcji.

Nie powiem, że tak nie jest. Czytam o tym jak każdy i wiem, co się podobno dzieje w Warszawie, ale nie mogę stwierdzić, żeby tak było u nas. Myślę, że tam gdzie jest duży przemysł i większe możliwości, może do takich przypadków dochodzić. Jeśli chodzi np. o afery łapówkarskie w stolicy, to ludzie przychodzą następnie do nas i mówią, że tutaj jest tak samo. Oczywiście trzeba napiętnować faktyczne przestępstwa.

Podobno poprzedni minister sprawiedliwości strasznie na prokuratorów naciskał.

Oceni to społeczeństwo.

Czuje się więc Pan samodzielny i suwerenny? Na ile Pańskie stanowisko jest urzędnicze a na ile polityczne?

Czuję się całkowicie samodzielny. Dlatego jestem tutaj, czyli tam, gdzie praca mi odpowiada. Moja wielka samodzielność wynika nie tylko z faktu, że sobie ją wywalczyłem, ale również dlatego, że nie jestem ani spokrewniony ani nie łączą mnie więzy koleżeńskie z żadnym z miejscowych polityków. Nie interesują mnie inne stanowiska, ponieważ uważam, że wyższe od stanowiska prokuratora rejonowego mają już charakter polityczny.

Czy prokurator może mieć poglądy polityczne, należeć do partii politycznej, startować w wyborach samorządowych lub parlamentarnych?

Każdy powinien mieć poglądy, ale nie musi ich ujawniać. Do partii politycznej należeć prokuratorowi nie wolno. O stanowisko posła czy radnego ubiegać się może, ale wówczas musi zrezygnować z pracy.

Kiedyś były modne wizyty prokuratorów w szkołach. Teraz pojawia się tam policja i Straż Miejska a prokuratorzy czy sędziowie? Zawsze lepiej, jeśli o ważnych sprawach mówi praktyk. Pamiętam dość dawną już wizytę prokuratora w LO, który nam wyjaśnił, dlaczego sprawca włamania do internatu chodzi na wolności.

Kiedyś prowadziłem w LO zajęcia dla klasy historyczno-prawnej, potem jedna z koleżanek wykładała tam prawoznawstwo. Niedługo odbędzie się spotkanie z nauczycielami i uczniami w Zespole Szkół Zawodowych, o co wystąpiło kuratorium. Teraz w szkołach pracują nawet psycholodzy, więc powinny one sobie jakoś radzić, ale można się zgodzić, że o przestępstwach nieletnich lepiej, aby mówił ktoś obcy. Prokurator w szkołach nie może stać się jednak kimś powszednim. Moim zdaniem, przyczyną wzrostu przestępczości wśród nieletnich, jest załamanie się systemu rodzinno-szkolnego.

Czy naprawdę tak potwornie wzrasta ilość przestępstw dotyczących przemocy w rodzinie? Istnieje przy prokuraturze telefon zaufania?

Nie jest to plaga, ale to zjawisko znajduje potwierdzenie w naszej praktyce. Publikacje prasowe z jednej strony powodują, że ludzie bardziej są skłonni takie sprawy ujawniać a z drugiej uczulają społeczeństwo na tego typu przestępstwa. Nawet jeśli pewne sprawy są wyolbrzymiane, zawsze można je sprawdzić. Przestępstwa seksualne przeciwko młodocianym są godne napiętnowania. Każda kobieta, która będzie czytała ten wywiad, powinna wiedzieć, że nie powinna wstydzić się tutaj przyjść w takich przypadkach. Sama rozmowa z prokuratorem nie spowoduje zmiany jej męża, ale zapewne zmieni się ona sama, gdy podamy jej sposoby uratowania rodziny i dzieci. Telefonu zaufania nie ma. Do nas się po prostu telefonuje i umawia na rozmowę. Na mój numer może zadzwonić każdy. Przyjmuję w pracy zawsze wtedy, gdy tam jestem. Podobnie do dyspozycji jest mój zastępca. W prokuraturze można mnie spotkać już od 6.30 rano.

Jest Pan osobą powszechnie znaną w światku przestępczym nie tylko naszego miasta. Czy w związku z tym czuje się Pan bezpiecznie? A może towarzyszy panu obstawa?

Mam poczucie bezpieczeństwa. Aby obawiać się zemsty, samemu trzeba być mściwym, a takim nie jestem. Nigdy nie miałem obstawy.

Czego należy życzyć prokuratorowi?

Już miałem odpowiedzieć że tego, aby zawsze miał rację. Ale właściwie nie musi tak być, przecież chodzi o to, aby zawsze zwyciężała prawda.

Spytam na koniec o prywatne marzenia. Niedawno został Pan szczęśliwym dziadkiem…

Ciągle marzę o następnych podróżach po Polsce, która jest taka piękna, że nie trzeba koniecznie wyjeżdżać daleko poza nią. Nie znam jeszcze całego naszego kraju, pomimo tego, że jestem przewodnikiem turystycznym. Cały czas cieszą mnie uroki najbliższej okolicy. Już nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę moją wnuczkę na pierwszą wspólną wycieczkę na Wilczą Górę.

Rozmawiał Roman Gorzkowski

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

fot. R. Masłowski

Weekend z drogówką

W piątkowy poranek długiego weekendu punktualnie o 7.00 melduję się w dyżurce złotoryjskie komendy policji. Przede mną nowe wyzwanie – praca (na razie w randze obserwatora) w wydziale ruchu drogowego. Po technikach policyjnych przyszła pora na to, by to właśnie policjanci z drogówki stali się bohaterami artykułu w „Echu". A trzeba przyznać, że niełatwo było namówić szefostwo policji na ten manewr.

Kiedy wyjeżdżałam z domu, słyszałam w serwisie informacyjnym, że w ten weekend policjanci mają pełne ręce roboty, a śmierć zbiera na drogach obfite żniwo. Dziś przyjdzie mi przekonać się, jak to wygląda na naszym terenie. Oby nie potwierdziły się i tu policyjne statystyki.

Pół godziny przyjdzie mi czekać, by zobaczyć, z kim spędzę następne sześć godzin. Czekanie ułatwia mi zaserwowana przez rzecznika złotoryjskiej policji kawa z miodem. Pycha. Kiedy kofeina powoli, ale na dobre otwiera mi oczy, za zamkniętymi dla mnie drzwiami trwa poranna odprawa u szefa. Zaraz potem, gotowa do pracy, witam się z sierżantem sztabowym Adamem Dudkiem i młodszym aspirantem Kazimierzem Koczanem. Z min obu panów odczytuję wielką chęć pozbycia się mnie czym prędzej. Nie dziwię się. Ja też nie lubię hospitacji (!). Zobaczymy, może wytrwamy w swoim towarzystwie te kilka godzin. Wyposażeni w masę żelastwa i czarną teczkę (bardzo ważny rekwizyt) idziemy do radiowozu. Po raz pierwszy zobaczę taki samochód od wewnątrz. Intrygują mnie kolorowe pętelki wystające spod tylnych siedzeń, o które nieustannie zahaczam nogami. To do nich przykuwa się kajdankami niesfornych pasażerów. Podejrzewam, że sprawia im to wątpliwą przyjemność.

Jedziemy przez miasto w stronę Legnicy. Trzeba sprawdzić tzw. przepustowość tras. Wczesna pora i kolejny w kalendarzu wolny dzień sprawiają, że na miejskich drogach jest prawie pusto. Tuż koło Inkobudu kierujący radiowozem gwałtownie zawraca samochód. Teraz jedziemy w przeciwnym kierunku za osobowym mercedesem, bo policjant wypatrzył wyraźnie uszkodzony przedni reflektor w samochodzie, który jechał z naprzeciwka. Spostrzegawczość to niezbędna cecha u policjanta. Pan Kazimierz przyznaje, że nawet po służbie nie usypia swej czujności. Kiedy jednak zdarzy mu się zaobserwować dziwne sytuacje i niepokojące zachowania kierowców, nie interweniuje, tylko zgłasza wszystko dyżurnemu. Tak bezpieczniej. Zauważam, że policjant ma też fenomenalną pamięć. Przypomina mi, że ponad rok temu zatrzymywał mnie do kontroli i wymienia samochody, jakimi jeździłam. Jestem pod wrażeniem.

Tymczasem jedziemy za uszkodzonym mercedesem. Stłuczona lampa wydaje mi się błahym powodem do interwencji, ale panowie tłumaczą, że czasami w ten sposób można zatrzymać sprawcę wypadku, który uciekł z miejsca zdarzenia. Dlatego wyprzedzamy obserwowany samochód i w dogodnym miejscu, na ul. Wojska Polskiego policjanci dają znak kierowcy, by zjechał na pobocze i się zatrzymał. Zaczyna się rutynowa kontrola. Po raz pierwszy przekonam się o zbiurokratyzowaniu w policji. Nie wystarczy skontrolować sprawność samochodu i…kierowcy. Trzeba to wszystko zgłosić dyżurnemu i czekać, czekać, czekać na informację z systemu wewnętrznego, jaka jest treść kartoteki kontrolowanego. Potem zwykle jeszcze dochodzi wypisanie mandatu, a w przypadku odebrania dowodu rejestracyjnego, pokwitowania. Po skończonej służbie należy jeszcze napisać raport, a kiedy „łupem" policjantów padnie dowód rejestracyjny, trzeba sporządzić pismo przewodnie do wydziału komunikacji. Jak dla mnie- to za dużo. Mam wrażenie, że czas upłynie nam na pisaniu.

Dla młodego kierowcy piątek okazał się pechowy, reflektor jest tak uszkodzony a przy tym jeszcze pęknięte lusterko, że policjanci bez skrupułów odbierają dowód rejestracyjny. Nie przekonuje ich tłumaczenie, że kierowca właśnie jedzie do mechanika, a uszkodzenie samochodu to wynik stłuczki, w której był poszkodowanym (może dlatego na osłodę nie dostaje mandatu). Technika negocjacji tu częściowo zawiodła. Cóż, jak chłopak naprawi samochód i zrobi przegląd techniczny, ma szansę jeszcze dziś odebrać dokument. Wyobrażam sobie, jak klnie, kiedy znika nam z pola widzenia i słyszenia.

Jedziemy dalej, tym razem poza Złotoryję. Pogoda barowa, siąpi deszcz a w samochodzie przynajmniej jest sucho. Radiowóz jest prawie nowy, ma dwa lata i ponad 80 tys. przebiegu. Powinien pojeździć jeszcze z 8 lat. Samochód przypisany jest do konkretnego kierowcy. Ten jest na stanie p. Adama. Klimatyzacja działa, jak chce. Rozczarowuje mnie brak wideoradaru, czy nawet CB radia. To drugie jednak coraz częściej można spotkać nawet w samochodach osobowych. Kierowcy chętniej montują CB radia niż antyradary. Dzięki radiowej łączności są w stanie unikać kontroli policyjnej czy mandatu za nadmierna prędkość.

Jadąc radiowozem, widzę, jak magiczny wpływ na zachowanie kierowców ma widok policyjnego samochodu. Szczególnie dotyczy to zapominalskich, którzy, dostrzegając jadących policjantów, dopiero włączają światła w samochodach lub pospiesznie zapinają pasy. Przyznam, że nie jest mi to obcy odruch. Teraz patrzę na to z drugiej strony i dostrzegam całą śmieszność sytuacji.

Policjanci wyjaśniają, że niezapięcie pasów w samochodzie wyposażonym w poduszki powietrzne może zrobić ogromną krzywdę jadącemu. Podczas wypadku eksplozja poduszek jest tak silna, że odrzuca bezładnie niezabezpieczone ciało, a skutki tego są łatwe do przewidzenia. Poduszka działa prawidłowo tylko w połączeniu z pasami. Obiecuję sobie o tym pamiętać. Najczęściej pasy nie są zapinane przez kierujących w miastach.

W rozmowie z policjantami słyszę jednak to, co naprawdę usłyszeć chciałam (może to tylko kurtuazja moich gospodarzy ?) – kobiety jeżdżą bezpieczniej niż mężczyźni. Mają też sprawniejsze samochody. To pierwsze wynika pewnie z większej wyobraźni i … mniejszej ilości testosteronu [dop. – I. P.]. Niestety, podczas wykonywania manewrów są mniej zdecydowane i trochę nieprzewidywalne. Coś za coś. I tak jesteśmy lepsze, drogie panie. Podczas mojej „służby" żadna kobieta nie zapłaciła mandatu!

Teraz kierujemy się w stronę Kozowa, Prusic, Leszczyny, Wilkowa. To trasa numer 5 (miasto i gmina Złotoryja). Wyboru trasy patrolu dokonuje kierownik, który sporządza grafik miesięczny. Nie ma nudnych tras, każda ma swoją specyfikę. Zwiększenie ilości aut sprawiło, że policjanci mają co robić. Nawet na wsiach. Tu zwykle pojawiają się drobniejsze wykroczenia. Na mniej uczęszczanych trasach można spotkać więcej pijanych rowerzystów lub kierujących bez uprawnień albo dokumentów. Pan Adam tłumaczy, że policjant, który przyjeżdża na komendę po służbie, powinien mieć na swoim koncie kilka interwencji lub kontroli. Nawet patrolując wiejskie drogi! Policjanci dementują informację, że ich wynagrodzenie zależy od wypisanych mandatów. Uważają, że byłoby to szkodliwe i dla kontrolowanych, i dla nich samych, gdyż skutecznie zraziłoby ludzi do policji. Po co jeszcze bardzie konfliktować społeczeństwo. Policjantów niepokoi jednak fakt, że ludzie (i to niezależnie od wieku) coraz częściej podczas kontroli pojazdu, dokumentów, stanu trzeźwości wdają się w nieprzyjemne dyskusję ze stróżami prawa. Bywa, że zachowują się arogancko, a nawet agresywnie. Coraz więcej w nich bezwzględności i cynizmu. Z niedowierzaniem wysłuchuję historii, jaka miała miejsce kilka miesięcy temu w Złotoryi. Młoda dziewczyna potrąciła na przejściu dla pieszych starszą kobietę. Uciekła z miejsca wypadku, a kiedy ją zatrzymano, nie tylko nie wykazała skruchy, lecz stwierdziła, że miejsce tej staruszki już dawno jest na cmentarzu. Trudno to skomentować.

W Leszczynie uwagę policjantów przykuwa jadąca naprzeciwko tzw. laweta (kolejny mercedes) na zielonogórskich numerach. Taki holownik, na pustej drodze w wolny od pracy dzień, budzi zainteresowanie policjantów. Tym bardziej, że niedawno tego typu samochód został skradziony. Dlatego też policjanci decydują się zawrócić i zatrzymać kierowcę. Kontrola techniczna pojazdu polega na sprawdzeniu oświetlenia samochodu i stanu hamulców, sygnału dźwiękowego, lecz ważniejsze w tym wypadku jest zweryfikowanie dokumentów i zasięgnięcie informacji z bazy danych. Tym razem wszystko jest w porządku. Każdy z pojazdów odjeżdża w swoją stronę. My w kierunku Wilkowa. Zanim jednak dotrzemy do wioski, przyjdzie mam jeszcze dwa razy skontrolować samochody. Widać, że dzień już wstał na dobre, bo ruch się zwiększył. Zaraz za Leszczyną policjanci zatrzymują do rutynowej kontroli kobietę kierującą białą corsą. Pani jest wyraźnie zdenerwowana, choć, obiektywnie rzecz biorąc, nie ma ku temu żadnych powodów. Samochód jest sprawny, ale zanim to policjanci stwierdzą, minie jakiś czas, bo kobieta ma problemy w wykonywaniem zwykłych czynności. Ze stresu mylą jej się światła i hamulec z pedałem gazu. Chyba ją rozumiem. Też nie przepadam za takimi sytuacjami. Może to kwestia płci?

Ale kobiety bywają też policjantkami i to patrolującymi drogi. Jednak jest ich niewiele. Od początku listopada złotoryjska komenda wzbogaciła się o jedną panią. To młoda dziewczyna, którą czeka jeszcze szkolenie w Legionowie. Przed nią trudna praca. Nie raz trzeba uporać się z niesfornym pijaczkiem, zastosować siłę. Nie tylko perswazji. Dlatego kobiety wolą pracować w innych wydziałach.

Mniej szczęścia niż prowadząca corsę ma kierowca kolejnego samochodu, który został skontrolowany nieopodal. Wiekowe auto, ford eskort, ma zasadnicze usterki: nie działają kierunkowskazy, brak oświetlenia tablicy rejestracyjnej, sygnału, uszkodzone jest mocowanie reflektorów. Kierowca z pokorą przyjmuje decyzję o zabraniu dowodu rejestracyjnego. Mandatu nie zapłaci, policjanci biorą pod uwagę, że mężczyzna jest rencistą. Dochód 520 złotych i bezrobotna żona to istotne argumenty. Za zaoszczędzone na mandacie pieniądze łatwiej mu będzie naprawić samochód. Kierowca jest tak uprzejmy, że sam dyktuje policjantowi usterki przez niego stwierdzone. I znowu zaczyna się papierologia.

Po pewnym czasie jedziemy dalej. Wracamy przez uśpiony Wilków do Złotoryi, dyskutując o jakości lokalnych dróg. Policjanci współpracują ze służba drogową, zgłaszając zarządcy usterki, jakie wypatrzą podczas patrolu. Raz w roku robią też tzw. lustrację dróg. Najbardziej narzekają na trasę prowadzącą do Jeleniej Góry. Wąskie i kręte drogi, a na dodatek rosnące tuż przy jezdni drzewa, są dużym zagrożeniem dla podróżujących. Dlatego też policjanci postulują wycinkę starych i kruchych drzew w obrębie pasa drogowego. Bariery energochłonne przy drodze byłyby lepszym rozwiązaniem. Policjanci zwracają też uwagę na niewłaściwe oznakowanie niektórych tras. Współpraca ze złotoryjskim zarządem dróg układa się należycie, dlatego też PZD reaguje na wszelkie uwagi policjantów. Gorzej jest z jeleniogórskimi drogowcami.

Podjeżdżamy na plac przy ul. Grunwaldzkiej. Tu zacznie się tzw. kontrola statyczna z pomiarem radarowym. I znowu pada kolejny mit, że deszczowa pogoda wyklucza użycie radaru. Choć siąpi kapuśniaczek, wychodzimy z radiowozu. Koło godziny 10. ruch w Złotoryi wzrasta. Mimo ostrzegawczych sygnałów, jakie dają sobie kierowcy, za chwilę mamy pierwszego pirata. Kierujący toyotą młody mężczyzna jest lekko zaskoczony wskazaniem radaru. Ponad 80 km/h w terenie zabudowanym. 10% zwyczajowej tolerancji już go nie dotyczy. Na dodatek chłopak nie ma przy sobie dokumentów. Teraz trochę poczeka, zanim dyżurny sprawdzi jego dane. Mandat tym razem będzie, i to pokaźny. Policjant ma prawo przyznać 50 złotych kary za brak każdego dokumentu. Do tego jeszcze dochodzi przekroczona prędkość. Kierowca tłumaczy swój pośpiech wezwaniem od szefa. Już dawno powinien być w pracy. Chyba nie będzie. O całą jego dniówkę albo dwie wzbogaci się Urząd Wojewódzki.

W tym czasie, kiedy trwa kontrola danych kierowcy, koło nas przechodzi tzw. koloryt lokalny, który widząc mnie w towarzystwie policjantów, próbuje przekonać ich o mojej niewinności: „Panowie, puśćcie tą panią. Ona nic nie zrobiła." Rozbawia mnie tym do łez.

Za chwilę na plac zajeżdża kolejny zatrzymany samochód. Karawan z Pabianic. Kierowca, który zwykle musi jeździć powoli, tym razem pozwolił sobie na więcej. Elegancki mężczyzna w średnim wieku ma trochę strapioną minę. Mandat oczywiście przyjmie, ale tego nie wkalkulował w cenę usługi. Z Pabianic do Gryfowa i z powrotem pojedzie już na własny koszt. Ten czas, kiedy policjant sprawdza jego dokumenty i wirtualną kartotekę, zajmuje sobie pogawędką o walorach krajobrazowych i historycznych naszego miasteczka. Pyta między innymi o sztolnię, gdyż słyszał o złotoryjskim złocie. Jest tu pierwszy raz i na pewno zapamięta Złotoryję. Mam wrażenie, że nie tylko z powodów jej uroków.

fot. R. Masłowski

Jeszcze na placu stoją dwa samochody, a już pojawia się trzeci. Kolejny mercedes. Stary typ i niemłody kierowca. Powodem zatrzymania nie była tym razem prędkość, ale niezapięte pasy kierowcy. Okazuje się zaraz, że mężczyzna ma zaświadczenie, które zwalnia go z tego obowiązku, gdyż jest inwalidą. Niestety, nic nie zwolni go z posiadania sprawnego samochodu. Usterek jest wiele, a najważniejsze – brak hamulców i wiszące kierunkowskazy. I znowu policjanci obierają dowód rejestracyjny, piszą pokwitowanie. I znowu ktoś będzie ich przeklinał, a mnie przy okazji.

Zimno coraz bardziej daje się we znaki, a widzę, że moi towarzysze nie odpuszczają. Czwarty samochód na placu pojawia się wtedy, gdy zorientowałam się, że nie działa mi dyktafon. Zajęta poszukiwaniem awaryjnego notatnika, nie zauważyłam powodu zatrzymania białego opla. Do moich uszu dochodzą komunikaty z policyjnego radia. Dyżurny dwoi się i troi, by sprostać wymaganiom „moich" policjantów. Wyraźnie jest zniecierpliwiony ich ponagleniami. Sama mam mu ochotę powiedzieć, by szybciej sprawdzał w tym swoim systemie, bo za chwilę z zimna odpadnie mi nos. Moja kurtka jest już tak mokra, że w ogóle nie chroni od chłodu. Choć obaj panowie proponują mi schronienie w radiowozie, nie korzystam z tej oferty. Za dużo faktów umknęłoby mojej uwadze. Na szczęście za chwilę odjeżdżamy. Kierujemy się poza Złotoryję. Kiedy mijamy zjazd na Jawor, pan Kazimierz pokazuje mi miejsce, w którym niedawno zatrzymał się uciekający przed policją młodzian z Legnicy. Nie zareagował na wezwanie (pewnie dlatego, że jechał bez dokumentów, a może na podwójnym gazie?) i zaczął się pościg. Chłopak nie wyrobił zakrętu, a zaraz potem wjechał w zaorane pole przy torach kolejowych. Daleko nie zajechał. Zazwyczaj pościgi policyjne kończą się dla uciekających podobnie. Innym ciekawym sposobem zatrzymania się samochodu ściganego przez policję było sforsowanie ściany stodoły w Kozowie.

Zmierzamy w stronę Ernestynowa. Za chwilę przejadę przez wioski znane mi tylko z nazwy: Gierałtowiec, Podolany, Kwiatów. W Kwiatowie kończy się droga. Zawracamy. Wszędzie jest cicho, spokojnie, ruch uśpiony. Jedziemy do Złotoryi. W drodze odbieramy wezwanie do komendy. Policjanci powinni zająć się teraz szkodą parkingową, która przed chwilą zastała zgłoszona. Kiedy zajeżdżamy na komendę, czeka na nas zirytowany mężczyzna. Informuje, że na parkingu za ZOK-iem ktoś uszkodził mu samochód i odjechał. Mężczyzna zdążył zanotować numery rejestracyjne jego hondy. Zaczynają się formalności. Trzeba sprawdzić, do kogo należy samochód sprawcy. Na szczęście system komputerowy teraz funkcjonuje błyskawicznie. Okazuje się, że właściciel hondy mieszka w Złotoryi. Teraz musimy go zaprosić na komisariat. Oczywiście osobiście. Jedziemy na osiedle z nadzieją, że poszukiwany przez nas mężczyzna jest w domu. O cudzie, był. Teraz w jego towarzystwie wracamy do komendy. Młody mężczyzna nie wypiera się tego zdarzenia. Badanie alkotestem wskazuje, że jest trzeźwy. Dlaczego zatem uciekł? Tłumaczy, że nie słyszał uderzenia, bo miał głośno nastawioną muzykę. A dlaczego nie poczuł? To pozostanie dla mnie zagadką. Poszkodowany nie wnosi oskarżenia. Wystarczy mu, że sprawca zostanie ukarany przez policję. Stuzłotowy mandat i „reklama' w „Echu" to niewielka kara. Ale obaj panowie wydają się usatysfakcjonowani. Przynajmniej kogoś dziś uszczęśliwiliśmy.

Kiedy policjanci zajęci są sprawą szkody parkingowej, kątem oka obserwuję małe zamieszanie za uchylonymi drzwiami. Właśnie przyjechała z Legnicy grupka policjantów z prewencji, która wspomoże po południu lokalne służby. Trwa policyjna akcja, więc taka pomoc jest mile widziana. Nasza zmiana kończy się za dwie godziny. Jak ten czas mija! Jednak nie spędzimy nadchodzących godzin w komisariacie. Jedziemy dalej. Znowu kierujemy się do Wilkowa, ale tym razem mało uczęszczaną drogą koło stawu osadowego. Bywa, że jeżdżą tamtędy kierowcy, którzy mają powód, by omijać bardziej oficjalne drogi. Teraz jest tu jednak pusto. Oddychamy z ulgą, bo nie wiem, jak zniosłabym w radiowozie towarzystwo podchmielonego jegomościa. Wracamy do miasta. W Złotoryi dyżurny informuje nas, że powinniśmy zwrócić uwagę na audi na bolesławieckich numerach. Istnieje podejrzenie, że kierowa może być pod wpływem alkoholu. Za chwilę kolejny komunikat. Na Zagrodzieńskiej doszło do kolizji dwóch samochodów. Jedziemy na wezwanie. Niedługo koniec służby, a tu zaczyna się coś dziać. Kiedy wjeżdżamy na Zagrodzieńską, widzimy na zakręcie leżące części samochodu. Przy zjeździe do dawnego PGR-u stoją dwa samochody. Nie ma wątpliwości, to tu. Widocznie uszkodzony jest czarny golf. Kierowca relacjonuje przebieg zdarzenia. Kiedy jechał pod górę, w stronę Bolesławca, wpadł na niego zmierzający z góry renaut. Prawdopodobnie mokra jezdnia i leżące na poboczu liście sprawiły, że nie wyhamował na zakręcie. Na szczęście ludziom nic się nie stało. Mimo to obaj prowadzący są podenerwowani, pasażerowie również. Badanie alkotestem obu kierowców jest dla nich pomyślne. Niesamowite – przez całą zmianę ani jednego pijanego kierowcy! W golfie uszkodzenia są znaczne: przednie i tylne drzwi, błotnik, alufelgi, listwa. Oględziny samochodu sprawcy kolizji wskazują na wgniecenie błotnika, zderzaka i stłuczenie przedniego reflektora. Obaj kierowcy tracą dowody rejestracyjne. Po równo, co nie znaczy sprawiedliwie, ale prawo jest prawem. Kiedy trwają czynności typowo biurokratyczne (co najmniej pół godziny), nadjeżdża audi na bolesławieckich numerach. To samo, o którym mówił w komunikacie dyżurny. Policjant zatrzymuje kierowcę pod pretekstem rutynowej kontroli. Starszy mężczyzna jest widocznie zmęczony długa drogą, ale badanie alkotestem wskazuje zerowy wynik. Cóż, ktoś na szczęście się pomylił. Policjant sugeruje, żeby kierowca jechał ostrożnie, a najlepiej wypoczął.

Na nas też czas. Mnie również przyda się wypoczynek, a szczególnie filiżanka ciepłej herbaty z imbirem. Tę wypiję już w domu. Wcześniej pod komendą pożegnam się z moimi towarzyszami.

Oddając - dajesz innym

To już 3 raz młodzież Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi wzięła udział w akcji oddania krwi. Przygotowania do niej poszły w różnych kierunkach. Od 11 grudnia zaczęła się propaganda odnosząca się do tego wydarzenia. Kilku chętnych uczniów zaangażowało się w zachęcanie innych do oddania krwi . Polegało to na rozdawaniu losów z pytaniami: kto odpowiedział poprawnie, dostawał jabłko z naklejoną grupą krwi. Ruszył również konkurs na najlepszy plakat pod kierownictwem Pani Iwony Pawłowskiej i Pana Kazimierza Karsta.

12.12.2007 r. pod progi LO zajechał ambulans z ekipą białych fartuchów z Legnicy. Chętni do oddania krwi już odważnie czekali . Młodzież przed pokojem pielęgniarki wypełniała ankiety dla dawców. Po wypełnieniu kart, kandydaci losowali numerki, które miały ustalić kolejność krwiodawców. Jednak nie spełniło to swojej funkcji, ale było miłą formą zabawy. Następnie w gabinecie dentystycznym trzeba było oddać się w ręce grupy lekarzy, którzy mierzyli ciśnienie i pobierali próbki krwi do badania, by stwierdzić, czy potencjalny dawca może wziąć udział w akcji. Nieodpowiednie ciśnienie nie było jedynym powodem dyskwalifikacji, również osoby mające mniej niż 50 kg wagi bądź niemające 18 lat i 1 dnia, także musiały zrezygnować. Jeśli jednak wyniki były odpowiednie, osoby te rejestrowały się, otrzymywały soczek do zwiększenia płynów w organizmie i przechodziły do pomieszczenia, w którym czekały cztery fotele. Tu zdawano krew. Najwięcej można było oddać 450 ml, po czym trzeba było odczekać 10 min., aby nie zasłabnąć. Po udanej akcji podchodziło się do stolika w holu, gdzie otrzymywało się 8 czekolad i 1 konserwę.

Wśród młodzieży strach był podzielony. Zdarzali się śmiałkowie, którzy szli na pierwszy ogień (być może, żeby mieć to już za sobą), ale byli również tacy, którzy mieli w sobie chęci, jednak stres odciągał ich na koniec kolejki. Taką osobą była m.in. Kasia W., która przystąpiła do akcji po raz pierwszy. Przede wszystkim bała się ona samego ukłucia igły, jednak dzielnie wytrwała do końca. Jej przeciwieństwem był Nikodem Ć., który na zadane pytanie, dlaczego się nie boi, odpowiedział, iż jest to zbyt trudna odpowiedź i napomniał coś o otrzymaniu czekolad. Poprawił on swoją wypowiedź, dodając, że robi to, aby pomóc innym, ponieważ nie wiemy, co nas czeka w przyszłości, i czy sami nie będziemy kiedyś potrzebującymi. Oprócz młodzieży do grona krwiodawców dołączyli nauczyciele, pracownicy oraz Pani dyrektor i Pan vicedyrektor. Pani Barbara Mendocha dyrektor LO już trzeci raz oddawała krew, czyli brała udział w każdej akcji szkolnej. Nie czuła strachu, gdyż jak twierdzi, ma zaufanie do zajmujących się tym ludzi. O całej akcji krwiodawstwa sądzi, że jest to bardzo szlachetne przedsięwzięcie i jest dumna, że tak wiele uczniów bierze w niej udział. Świadczy to o humanitarnym podejściu do tego wydarzenia. Z roku na roku coraz więcej chętnych pojawia się nie tylko wśród młodzieży, ale również nauczycieli. Pani dyrektor była aktywnym uczestnikiem, wspomagała organizatorów i chętnych, wpierała ich i dopingowała.

Co później dzieje się z ofiarowaną krwią? Dlaczego można ją zdawać dopiero od 18 lat? Na temat medycznej strony tej akcji, dużo do powiedzenia ma tu Pani pielęgniarka - Janina Kałuża, która od początku do końca uczestniczyła w akcjach, wraz z Panią pedagog – Dorotą Radwańską. W tym przedsięwzięciu wzięło udział ok. 20 osób czyli oddano 10 litrów krwi, która do 6 godzin musiała zostać przetransportowana do obróbki do zakładu we Wrocławiu. W ramach oddawania robione są także badania laboratoryjne na HIV, HCV (żółtaczka typu C), HBV (żółtaczka typu B), jak również na choroby weneryczne (kiła i rzeżączka). Osoby poniżej 18-stego roku życia nie mogą być dawcami, ponieważ do tego czasu ludzki układ odpornościowy dojrzewa.

Zatem zastanów się, czy i Ty nie chciałbyś ofiarować chorym bezcennego daru życia. Nie dla własnych korzyści, lecz by dać radość z każdego kolejnego dnia, którym dzięki Tobie będą mogli się cieszyć chorzy, poszkodowani w wypadkach. Ciebie to przecież wiele nie kosztuje, a innym może ocalić życie. Jeśli chcesz podarować cząstkę siebie potrzebującym, przyjdź na kolejną akcję krwiodawstwa, która odbędzie się w naszym liceum w marcu

MagdalenaHrycaj i Klaudia Osadcow
zdjęcia Jana Kałuża

Świetlica terapeutyczna

Przy Złotoryjskim Ośrodku Kultury, Sportu i Rekreacji działa Świetlica Terapeutyczna, powołana i finansowana przez Urząd Miejski. Nabór uczestników odbywa się za pośrednictwem szkół i z udziałem Poradni Psychologiczno – Pedagogicznej. Wszystkie wnioski o przyjęcie rozpatruje rada pedagogiczna, na podstawie jej opinii dyrektor placówki decyduje o przyjęciu.

Podstawą systemu wychowawczego w Świetlicy jest kontrakt, jako sposób ciągłej pracy wychowawczej, regulujący wzajemne stosunki, reguły i zobowiązania między stronami. Zawierane są kontrakty grupowe i indywidualne.

Zawieranie umów i dotrzymywanie słowa to ważne doświadczenie wychowawcze. Kontrakt jest przykładem partnerskiego i demokratycznego rozwiązywania problemu.

Umowy z dziećmi pozwalają im dowartościować się, a także osobiście wpływać na samorozwój, uzmysławiają sobie, że:
- coś potrafią
- ich zdanie się liczy
- potrafią być rzetelne
- bez ważnego powodu nie wycofują się ze zobowiązań
- wzbudzają zaufanie.

Zawieranie kontraktu ustala granicę rozpoznawalną jako „przed kontraktem i po". Taki system pozwala na poważne partnerskie traktowanie każdej jednostki.

Do świetlicy uczęszczają uczniowie ze szkół podstawowych i gimnazjów. Przeciętnie 22 uczniów objętych jest opieką wychowawców, którzy pomagają nadrobić braki szkolne, organizują działania plastyczne i muzyczne. Wychowankowie realizują się jako aktorzy, przygotowując programy artystyczne na uroczystości wewnętrzne.

Ponadto prowadzi się pomoc indywidualną z języka polskiego i matematyki. Dla kilkorga dzieci dostęp do komputera jest jedynym pozaszkolnym kontaktem z urządzeniem. Wielu wychowanków poprawiło swoją sytuację w szkole, otrzymało promocję do następnej klasy.

Dzieci wymagające większej opieki objęte są terapią pedagogiczną i socjoterapią, terapią plastyczną i psychoterapią, zajęciami wychowawczo-profilaktycznymi w wersji zintegrowanej z programem profilaktycznym. Kadra Świetlicy dba o uroczystą oprawę świąt i uroczystości. Dzieci przygotowują dekoracje, plakaty, życzenia. Do najpiękniejszych zaliczyć trzeba Mikołaja, „Wigilię", „Dzień Rodziny" (Dzień Dziecka). W tych dniach wychowanków obdarowuje się łakociami, urządza poczęstunek i uczy się kulturalnego biesiadowania.

Bywało już, że do Świetlicy zgłaszały się dzieci prosząc o przyjęcie na zajęcia, bo słyszały, że jest ... fajnie. Niestety mankamentem jest to, że możliwości lokalowe i kadrowe nie pozwalają przyjąć wszystkich chętnych.

Pracę Świetlicy oceniają pedagodzy szkolni, rodzice, także radni, którzy przynajmniej 1 raz w roku odwiedzają dzieci w siedzibie, prowadzą rozmowy, interesują się problemami i trudnościami.

Docieramy do życzliwych, którzy znajdują przyjemność w sponsorowaniu atrakcji dla dzieci ze Świetlicy, za co serdecznie Im dziękujemy.

Danuta Sosa

Taryfa na życie

Niegdyś taryfy były potęgą w Złotoryi. Mieszkańcy tego małego miasteczka przemieszczali się nimi z punktu A do punktu B. Na postoju stały wypolerowane auta z uśmiechniętymi kierowcami, którzy rozwozili tłumy klientów. W XXI wieku, gdy większość dorosłych posiada samochody, taksówki straciły na popularności. Ulica Cmentarna w Złotoryi nie jest już zapełniona lśniącymi autami.

W październikowe popołudnie udałyśmy się na postój taksówek. Dziś już nie taryfiarze, lecz taksówkarze tu pracują. Nie tworzą już licznej grupy. Stoją tu zaledwie trzy taksówki. Ich kierowcy na widok dyktafonu odpowiadają opornie i niechętnie. – Nie chcę rozmawiać. Tamten lepiej się nadaje. – Burczą, nie patrząc na nas. Wkrótce jednak znajduje się Pan chętny do rozmowy. Ucieszyłyśmy się, bo po 20 minutach straciłyśmy nadzieję.

PRACA

Wbrew pozorom, praca taksówkarza nie należy do najbezpieczniejszych. Tym bardziej, że standard nie jest adekwatny do zarobków. – Wiele słyszy się o napadach i kradzieżach. – opowiada taksówkarz. – Obecnie władze regulują przepisy, by w razie zagrożenia droga ucieczki była łatwiejsza. Podczas jazdy z pasażerem, kierowca nie ma obowiązku zapinania pasów. – Wspomina. Oprócz bandyckich napaści zdarza się, że klienci są opryskliwi i niemili. – Często bywa i tak, że wieziemy nietrzeźwych, którzy wracając do domu lubią naubliżać. Pod wpływem alkoholu czują się pewniej, co powoduje, że nie liczą się z nikim i niczym.
- Dzienny czas pracy jest zależny od taksówkarza, sam ustala limit. – Każdy z nas stara się przepracować około 10 godzin.

ZAROBKI

Obecnie płaca taksówkarza jest niewielka. Miesięczny zarobek zwykle nie przekracza 1000 złotych. – Każdy kierowca pracuje na swój rachunek. – Opowiada jeden z milszych Panów. – By móc jeździć własnym pojazdem, trzeba przejść przez szereg procedur. Przede wszystkim zdać odpowiedni kurs, założyć jednoosobową firmę, co wiąże się z comiesięcznym opłacaniem składek, oraz zadbać o auto, by pasażerowi jeździło się bezpiecznie i wygodnie.

KLIENCI

Jak wielu klientów dziennie korzysta z usług złotoryjskiego postoju? Niewielu. – Klientów nie jest zbyt wielu. Średnio 5-10. – Mówi kierowca. – Dobrze jest, gdy zdarzy się jakiś dłuższy kurs. Wtedy można więcej zarobić. – Opowiada. – Niestety, tacy klienci to rzadkość. Obecnie w prawie każdej rodzinie jest dostęp do samochodu i ludzie nie potrzebują naszych usług. Kim są klienci? Często są to osoby starsze, chcące dostać się do urzędu, szpitala lub ośrodka zdrowia. Niekiedy podróżni, wracający z bagażami, i już wspomniani wcześniej „imprezowicze".

RELACJE

Stosunki między taksówkarzami nie należą do przyjemnych. Między sobą toczą walkę o klienta – Gdybym nie stał blisko samochodu, to pewnie bym go stracił. – Szepcze jeden z kierowców. Takie zachowanie mogłoby wydawać się nawet zrozumiałe, gdyby nie fakt, iż spędzają wspólnie w jednym miejscu sporo czasu. Liczba klientów, która znacznie spadła w ciągu ostatnich lat, zmusza konkurencję to takich czynów. Każdy ma rodzinę, potrzeby, każdy chce godnie żyć. – Między sobą walczymy o chleb. Każdy jest zdesperowany, bo odbieramy sobie wzajemnie pieniądze, których i tak jest mało. – Mówi taksówkarz.

Zawód taksówkarza może w niedługim czasie przejść do historii. Praca ta wymaga cierpliwości, łatwości w kontaktach międzyludzkich i wytrwałości. Powszechność posiadania samochodów w społeczeństwie sprawia, że taksówkarze stają się niepotrzebni. Zaistniała sytuacja wpływa na trudne relacje w pracy i atmosferę, która potęguje stres. Ta rywalizacja wpływa na zdrowie psychiczne, a problemy zwykle nie prowadzą do niczego dobrego.

Paula Wełyczko
i Martyna Borysionek

Święta na obczyźnie

Choinka, śnieg za oknem, lniany obrus, sianko, na nim opłatek, 12 potraw z karpiem w roli głównej, kolędy, pasterka…wymieniać można by jeszcze długo wszelkie skojarzenia związane z Wigilią i Bożym Narodzeniem. Jakie są święta w Polsce…każdy widzi, jak obchodzi się ten czas na świecie, zobaczmy oczami złotoryjskich podróżników i emigrantów, którym przyszło spędzić Boże Narodzenie w egzotyczny niekiedy dla nas sposób.

Anglia

Beata H

Mieszkam w Londynie już (albo dopiero) od 3,5 roku. Święta Bożego Narodzenia staram się spędzać w Polsce (i tak czyni większość mieszkających tu Polaków), natomiast Wielkanoc, niemalże każdy z nas spędza w Anglii. Przynajmniej wśród moich znajomych panuje opinia, że te święta są dla nas mniej ważne (w przeciwieństwie do doktryny katolickiej).

Niestety ubiegłoroczne święta Bożego Narodzenia zmuszona byłam spędzić w Londynie. Z zakupem produktów do przyrządzenia typowych polskich, wigilijnych potraw nie ma żadnego problemu, gdyż - proporcjonalnie do Nas tu przybyłych - wzrosła i ilość polskich sklepów. Tym samym jest możliwość kultywowania tradycji w polskiej wersji. Tak więc zgodnie ze zwyczajem polskim zagościły na stole wigilijnym uszka, barszcz, pierogi z kapustą i grzybami tylko, że wokół stołu byli nie Ci, z którymi te święta chciałabym spędzić (tu nawet obecność córki niewiele zmieniła, gdyż ona, podobnie jak ja, tęskniła za Polską)... To byli tylko znajomi, a Boże Narodzenie to święta rodzinne i tak (przynajmniej wg mnie) powinno zostać. Efekt ubiegłorocznych świąt był taki, że ... przeryczałam całą Wigilię. Moi rodzice, siostra i brat zrobili dyżury przy telefonie i ok. 4 godzin „wisiałam na słuchawce", rozmawiając z nimi i ... pociągając nosem. Efektem tych doświadczeń był bilet na kolejne święta kupiony już w sierpniu.

Nigdy więcej świąt na obczyźnie! A patrząc tak ogólnie na Boże Narodzenie w UK, to widać tylko komercję, komercję i jeszcze raz komercję. Choinki pojawiają się na każdym rogu już z początkiem listopada, w połowie miesiąca wyprzedaże. A Anglicy tak naprawdę święta spędzają w pubach. I jeszcze jedna ciekawostka na koniec: menadżer z mojego poprzedniego miejsca pracy stwierdziła, że nie może zatrudniać więcej Polaków, bo w okresie Bożego Narodzenia wszyscy wyjeżdżają do Polski i nie ma komu pracować

Magda Zawalska

Jesteśmy w Anglii juz prawie trzy lata (ja i mój chłopak). Zbliżające się święta będą zatem trzecimi, jakie spędzamy w obcym kraju. Jesteśmy jednak w na tyle dobrej sytuacji, że mogliśmy dotychczas (i będziemy mogli również w tym roku) celebrować Boże Narodzenie w rodzinnym gronie (moi rodzice i rodzeństwo również mieszkają w Anglii), zachowując nasze polskie tradycje (o to nietrudno, ponieważ znajdują się tu polskie kościoły i mnóstwo sklepów z polskimi artykułami potrzebnymi do przyrządzenia wigilijnych potraw) .Oczywiście nie obejdzie się bez choinki i prezentów. Tylko o śnieg jest tu o wiele trudniej niż w Polsce.

A jak inni Polacy? Niestety to smutny obraz, gdyż większość z nich (mając prawo wyboru) pracuje w tym czasie, zapominając o świętach. Zaskoczyły nas w Anglii dwie rzeczy: pierwsza to bardzo miła tradycja wręczania sobie przez sąsiadów kartek z życzeniami druga – smutna: rozpędzona machina marketingowa i szał zakupów, w którym zatraca się prawdziwy cel świąt. Jednak uważam, że nie jest ważne, w jakim kraju spędzamy święta, ale jak je traktujemy i przeżywamy.

Irlandia

Jacek Kozieł

W tym roku już trzeci raz będziemy obchodzić Święta Bożego Narodzenia w Irlandii. W tym czasie moja wspaniała dziewczyna jest główną siłą napędową. Dzięki niej podtrzymujemy co roku polskie tradycje świąteczne. Podczas wakacyjnych pobytów w Polsce wspólnie zbieramy grzyby (oczywiście w okolicach Czapli), które potem suszymy, aby w końcu zabrać ze sobą na Zieloną Wyspę, gdzie cierpliwie czekają aż przerobimy je na farsz do uszek. Jeśli chodzi o polskie potrawy wigilijne - Patrycja po części wyniosła nauki z rodzinnego domu, a po części korzysta ze ściąg z gotowymi przepisami. Duża ilość polskich sklepów pozwala nam na przygotowanie dowolnej polskiej potrawy. Nawet karpie, choć zamrożone, są dostępne w okresie przedświątecznym. Kiedyś nawet znalazłem sklep (irlandzki) gdzie sprzedawano żywe karpie. Opłatek, wysłany przez rodziców, dochodzi co roku bez opóźnień. Jak wszystkim wiadomo, krajobraz Irlandii to łąki po horyzont, więc także z siankiem pod obrus nie ma tutaj nikt problemów. Jeśli chodzi o wystrój domu - mamy przytłaczającą ilość ozdób. Oprócz choinki (w tym roku planujemy żywe drzewko) mamy ornamenty na okno, kominek, stół wigilijny, barierkę schodów. Wszystko to zostało w spadku po mieszkającej wcześniej w naszym domu rodzinie irlandzkiej. Muszę dodać że wśród Irlandczyków gorączka przedświąteczna zaczyna się tuż po Halloween. Polega to głównie na wydawaniu bajońskich sum na prezenty, ozdoby świąteczne, kreacje na "Christmas Party" (impreza sto razy ważniejsza niż Wieczór Sylwestrowy).

Siłą rzeczy po części przejmujemy też irlandzkie tradycje. Właściwie to staramy się łączyć obydwie. I tak za część irlandzką ja staram się być odpowiedzialny. Chodzi tu głównie o kilka potraw, głównie słodyczy. Najbardziej charakterystyczny jest christmas pudding - trudno to porównać do czegokolwiek z polskich potraw: trochę smakuje jak nadzienie z cukierków znanych jako trufle ale to jednak nie to. Pudding sprzedawany jest w głębokich plastikowych miskach ok. 1l pojemności. Ma kolor ciemnobrązowy i konsystencję zbitego, ciężkiego ciasta. W jego skład wchodzą suszone owoce (rodzynki, śliwki, figi), orzechy. Całe ciasto jest przesączone whiskey (irlandzką oczywiście, ta spoza Irlandii to whisky, czyli bez "e") a bardzo często również ciemnym piwem typu porter, czyli... słynnym Guinnessem. Przed podaniem kubełek ze zbitą masą należy odwrócić do góry dnem tak, aby pudding wypadł na talerzyk. Niektórzy Irlandczycy polewają go alkoholem i podpalają, gdyż podawany na ciepło, lepiej smakuje. Drugim charakterystycznym świątecznym przysmakiem są mince pies - podawane na ciepło babeczki z nadzieniem podobnym do wcześniej opisanego puddingu. Odkąd mieszkamy na Wyspie, nie może ich zabraknąć na naszym świątecznym stole.

Czego brakuje? Śniegu, może nawet mrozu, widoku ludzi tłumnie podążających wieczorem na pasterkę, a po niej- przemarzniętych przyjaciół, znajomych, Złotoryjan, którzy choć na tę jedną chwilę potrafią zapomnieć o kłótniach, urazach i stanąć ponad podziałami łamiąc się opłatkiem, składając życzenia, ściskając się przyjaźnie. A najbardziej brakuje Świąt spędzonych z rodziną, szczególnie tych z dzieciństwa, czasem skromnych, czasem bez pomarańczy pod choinką, ale jednak w atmosferze niebywałej radości, przy wspólnym wigilijnym stole, gdy za oknem bije biała poświata od śniegu, a na niebie pojawia się pierwsza gwiazda...

Austria

Alexandra Kluszczynska

Pochodzę z Polski i od kilku lat mieszkam w Austrii. Tutaj też najczęściej spędzam Święta Bożego Narodzenia w gronie najbliższych. Same Święta nie różnią się dla mnie zbytnio od tych, które spędzałam w kraju. Okres przedświąteczny natomiast to zupełnie inna historia. Szaleństwo świątecznych zakupów jest w Austrii nieporównywalnie większe niż w Polsce. Już pod koniec lata można kupić w supermarketach pierwsze bożonarodzeniowe smakołyki, a w październiku- choinkowe ozdoby. Bardzo miłą tradycją są natomiast spotkania w gronie znajomych na świątecznych marketach tzw. „Christkindlmarkt". Wspólne picie „punczu" i zajadanie się smakołykami, przy przepięknie przystrojonych choinkach, nadaje tym bożonarodzeniowym spotkaniom dodatkowego blasku. Co do smakołyków, to niesamowicie dobre są austriackie świąteczne ciasteczka, które z wielką ochotą dodałam do moich wigilijnych przysmaków.

Choć z chęcią przejęłam przedświąteczne tradycje Austriaków, to jednak Wigilijna kolacja pozostała dla mnie bardzo polska: w miarę możliwości z prawie dwunastoma potrawami i w gronie najbliższej rodziny. Około północy obowiązkowe wyjście na pasterkę, która tutaj, choć bardzo piękna, nie jest jednak tak uroczysta jak polska.

Pozostałe dwa dni Świąt, to najczęściej błogie lenistwo albo spotkania z przyjaciółmi.

Hiszpania

Renata Marcinek

Od zawsze, to znaczy od kiedy przyjechałam do Hiszpanii, marzeniem moim było spędzić święta w Polsce. Choć tu również obchodzi się je w gronie rodzinnym, jest choinka, pasterka, ale to nie to samo.

Wigilie spędza się jak u nas - z rodziną, ale kolacja nie zaczyna się przy pierwszej gwiazdce, lecz około 21. a świąteczne potrawy to głównie owoce morza. Tradycyjnie pojawiają się na stołach hiszpańskie turony (czekoladowe, na twardym karmelu, głównie z migdałami, produkuje się je jedynie na święta Bożego Narodzenia). Niestety, dzielenie się opłatkiem nie istnieje, ale dzięki rodzicom na moim wigilijnym stole opłatka nie zabrakło. O 24. jak i w Polsce jest pasterka. Niestety, nie uczęszcza na nią tyle ludzi i nie ma tej naszej polskiej atmosfery.

Dużą wagę przywiązuje się w Hiszpanii do przygotowania, Betlejem, tzn. żłóbka. W każdym domu, poświęca się tu temu dosyć czasu i pieniędzy. Znam ludzi, u których w domu Betlejem zajmuje cały pokój. U mnie makieta ma ok. metra kwadratowego i chłopcy uwielbiają ustawiać figurki. Tworzymy wspólnie nasze małe Betlejem, oczywiście z szopkami i nowonarodzonym Jezusem.

25 grudnia jest uroczysty obiad, często z nadziewanym indykiem, choć to zależy od rodziny...26 grudnia nie jest już dniem świątecznym. Wielu ludzi wykorzystuje dni świąteczne na wyjazdy na narty lub na Karaiby, co wcześniej bardzo mnie dziwiło, ale Świat tak się zmienił i powoli człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja

Co dwa lata spędzam święta w Polsce. Dzieciom ogromnie się to podoba i w ten sposób w pełni mogą poznać nasze polskie tradycje. Ferie świąteczne trwają tutaj aż do Trzech Króli i jest to dzień, w którym pod choinką można znaleźć prezenty lub odebrać je bezpośrednio od Trzech Króli po paradzie, która organizowana jest w każdym mieście. Zwyczaje świąteczne kultywuje się również w pracy, do nich należy kolacja w restauracji. Jest to dosyć miłe, ponieważ wszyscy spotykają się w innej, mniej służbowej atmosferze. Uczestnicy często wymieniają się podarunkami, a poza tym zakłady pracy maja zwyczaj wręczać swoim pracownikom kosz świąteczny (cesta de navidad) zawierający słodycze, wędliny, wino...wszystko, co może nam umilić święta. Tradycją pracodawców jest również obdarowywanie swych pracowników suszoną wieprzową nogą!

Kanada

Sławomir Kiraga

Moja żona mimo że urodziła się w Kanadzie, wychowała się w polskiej rodzinie i prowadzimy bardzo polski dom. W związku z tym święta spędzamy typowo po polsku, podobnie jak większość naszych znajomych. W rodzinach głównie pochodzenia angielskiego (a reszta stadnym instynktem za nimi) nie obchodzą Wigilii, a całe święta to tylko jeden dzień (ustawowo zresztą również wolne z pracy to tylko jeden dzień). Prezenty pod choinkę Kanadyjczycy wkładają kilka dni przed świętami, otwierają w dzień świąt rano. Uroczysty posiłek to lunch, podczas którego na stole króluje pieczony indyk. Popija się eggnog, a jest to praktycznie kogiel mogiel rozcieńczony mlekiem. Kto ma ochotę na coś mocniejszego, dodaje rum i serwuje w szklanej filiżance w kształcie łabędzia (to akurat niekoniecznie). Wiele rodzin stawia choinkę długo przed świętami, niektórzy zaraz po Halloween (czyli na początku listopada). Oczywiście dzieciom nie można wytłumaczyć, że zgodnie z tradycją choinkę powinno się ubierać w Wigilię. Często również ci bardziej niecierpliwi wyrzucają drzewko już na drugi dzień po świętach.

Na święta domy dekoruje się światełkami, wiesza się je na balkonach, tarasach, wzdłuż dachu, na krzewach i drzewach wokół domu. Po zmroku wrażenie jest bajeczne, niektóre ulice robią niesamowite wrażenie

Drugi dzień świąt to tutaj Boxing Day, czyli szalone przeceny w sklepach i szał zakupów. "Normalni" ludzie nie wychodzą wtedy z domów :) Oczywiście w polskich domach jest opłatek, siano, barszcz i czego tam regionalna tradycja z Polski wymaga. Z karpiem gorzej, bo trudno kupić. Ale można bez problemu zastąpić go czym innym, np łososiem, czy pstrągiem. Kolędy śpiewają wszyscy. W polskich domach oczywiście polskie. Muzyki na Boże Narodzenie jest mnóstwo, do najpopularniejszych kolęd należą: "Silent Night", "Oh Come, All Ye Faithful", "Angels, From the Realms of Glory", "Joy to the World", czy bardziej popularne jak „White Christmas" (najlepiej w oryginalnym wykonaniu Binga Crosby'ego. W niepolskim kościele słyszałem „Wśród Nocnej Ciszy" po angielsku :)

Pasterka jest praktycznie w każdym kościele. I mimo to, że większość ludzi nie celebruje Wigilii, to na pasterkę chodzą. I, jak w Polsce, można spotkać wtedy mnóstwo ludzi, którzy na co dzień do kościoła nie chodzą :) Och, rodzinną atmosferę mam w domu, typowo polską. Właśnie chciałem podkreślić, że w takich domach jak mój, tradycja jest naprawdę polska. A jest tych domów sporo. Thunder Bay liczy 110 tysięcy mieszkańców, Polaków jest tutaj 6-7 tysięcy. Największe grupy narodowościowe to Włosi, Finowie (największe skupisko Finów poza Finlandią) i Ukraińcy. Polacy następni.

Z Polski wyjechałem 19 lat temu, od tego czasu byłem tam dwa razy i bardzo mi się podobało. Wspaniały kraj :)

Stany Zjednoczone

Janina

W USA jestem od 15 lat. Mieszkam w Bayonne NJ i należę do parafii Matki Bożej Szkaplerznej. Okres Bożego Narodzenia rozpoczyna się już po Święcie Dziękczynienia (20 listopada). dekorowaniem ulic i witryn sklepowych. Najważniejszym zajęciem stają się zakupy (brak tu Adwentu). Tylko w kościele umieszczony jest wieniec adwentowy i choinka z kolorowymi karteczkami dla wiernych, aby mogli je zabrać i zakupić prezenty dla ubogich. Jest to praktyka bardzo lubiana i ceniona.

Bardzo brakuje mi polskich rorat. Myślę o dzieciach, które nigdy nie poznają tej tradycji. Szkoła podstawowa przy naszej parafii organizuje i wystawia jasełka. Główni aktorzy następnie są obecni na pasterce, idą w procesji do ołtarza z figurką Pana Jezusa i biorą czynny udział w liturgii. Przy śpiewie kolęd szczególnie przy „Wśród nocnej ciszy" myślę, że wszyscy Polacy są myślą i sercem w Ojczyźnie. Tęsknota, wspomnienia i przeróżne uczucia rodzą się równocześnie. Serce jest podzielone między tu a tam.

W polskich rodzinach szanuje się tradycję wieczerzy wigilijnej. W miarę możliwości świętujemy drugi dzień świąt. Amerykanie już pracują albo spędzają czas w domach towarowych, wymieniając otrzymane prezenty. Na drugi, trzeci dzień po świętach można spotkać na ulicach wyrzucone choinki. Szczególny świąteczny nastrój odczuwalny jest w kościołach, gdzie dekoracje skłaniają do modlitwy i uwielbienia Bożej Dzieciny. Wiele osób adoruje Pana Jezusa w żłóbku, zabiera jedno źdźbło sianka, składa ofiarę i dziękuje za przeżyty rok. Ale to niestety nie jest Polska.

Australia

Dawid Droń

Święta Bożego Narodzenia na półkuli południowej, ze względu na klimat, zdecydowanie różnią się od tych obchodzonych w Europie. Różnice oczywiście występują między różnymi grupami narodowościowymi, rasowymi i kulturowymi, które stanowią przytłaczającą większość mieszkańców Australii.

Dla Polaków, mieszkających w Australii, Boże Narodzenie to namiastka polskości, oznaka przywiązania do tradycji i nutka tęsknoty za śnieżnymi, białymi świętami obchodzonymi w Ojczyźnie. Jednak polscy imigranci jakoś muszą sobie radzić z tą innością i dlatego starają się, aby święta przypominały jak najbardziej te prawdziwe, polskie.

Zaczyna się więc od wizyty w polskim sklepie i porządnych zakupów. Tylko bowiem produkty "made in Poland" mogą spowodować, że na talerzach pojawią się te same potrawy, co na talerzach ich rodzin w kraju. Gotowanie wigilijnych potraw jest często przerywane wizytami na basenie, gdyż upał przekraczający ponad 40 stopni, daje się mocno we znaki i trzeba czasem wyjść z rozgrzanej kuchni, aby się troszeczkę schłodzić.

Sama wieczerza przypomina tę właściwą – polską, jednak drzwi balkonowe są uchylone, a domownicy paradują po domu w szortach i koszulkach. Dość częstą praktyką jest organizowanie wspólnych wieczerzy z innymi Polakami lub znajomymi obcokrajowcami. Z Polakami bardzo blisko żyją Słowacy i im udaje się przemycić do wigilijnego menu narodowe potrawy, np. kwaśnicę - akceptowaną przez Polaków, mimo że gotowaną na mięsie. Największym problemem jest zawsze sprawa karpia. Niestety zdarza się, że musi on być zastąpiony inną rybą, np. ...rekinem.

Ze względu na dużą różnicę czasu, dzwonienie do Polski z życzeniami zaskakuje polskie rodziny w kraju, gdyż odrywa je to od obowiązków wczesnym rankiem, kiedy jeszcze nie ma wigilijnej atmosfery w polskich domach. Prezenty i Mikołaj to międzynarodowy symbol świąt, więc tutaj nie ma dużych różnic. Wszyscy wszystkim dają prezenty, choć obcokrajowcy dziwią się naszemu zwyczajowi łamania się opłatkiem zanim dostaną swoje prezenty. Zresztą opłatki muszą być sprowadzane z Polski. Zazwyczaj rodzina przesyła w liście.

Tak mija Wigilia - dzień specjalny dla Polaków ale całkiem zwyczajny dla innych narodowości. Dla rodowitych Australijczyków to często pierwszy dzień długiego letniego urlopu. Dzieci mają za sobą już dwa tygodnie wakacji i perspektywę wolnego stycznia.

Pierwszy dzień Świąt to ten właściwy dzień dla Australijczyków. Cały czas próbują pielęgnować swoje anglosaskie tradycje, jednak z powodu silnego zlaicyzowania kraju, święta są okresem czysto skomercjalizowanym i przede wszystkim okazją na wydanie kilku dolarów na przyjemności.

Plaże wtedy pękają w szwach, późnym popołudniem nie można znaleźć miejsca w restauracjach, a wieczorem do jakiegokolwiek pubu ciężko w ogóle się dostać. O tym, że to święta, przypominają śmiesznie przystrojone domy, choinki oraz wszechobecne czapki św. Mikołaja na głowach półnagich mieszkańców Sydney. Choinki można kupić kilka dni przed świętami, jednak nie są to świerki, ale jakieś autochtoniczne krzewy przypominające te europejskie drzewka. W samym centrum miasta - na Martin Place - jest ustawiona ogromna choinka, która przypomina, że to właśnie Christmas. Inną oznaką świąt są oczywiście witryny przyozdobione w bożonarodzeniowym stylu, oferujące obniżki cen Wszystko tak, jak w amerykańskim filmie. Tyle tylko, że ta pogoda jakaś dziwna...

Drugi dzień świąt to obowiązkowa wizyta w jednym z najpiękniejszych miejsc Sydney - Watson's Bay. Zaczynają się tam bowiem prestiżowe regaty, znane na całym świecie jako regaty Sydney-Hobart. Tysiące ludzi gromadzą się na klifach, aby móc obserwować start setek jachtów płynących w kierunku Tasmanii. Trzeba dodać, że port w Sydney jest jednym z najwspanialszych naturalnych portów świata, odkryty przez Jamesa Cooka.

Potem zazwyczaj ci wszyscy ludzie próbują znaleźć choć kawałek miejsca na ręcznik na którejś z wielu plaż. Wolny dzień sprzyja relaksowi, dlatego wizyta na plaży zazwyczaj przeciąga się do późnych godzin nocnych. Wielu ludzi przynosi turystyczne lodóweczki

wypełnione piwem i spędza czas przy szumie fal Pacyfiku (obowiązkowo w mikołajowych
czapkach), aż pojawią się pierwsze promyki wschodzącego słońca, oraz kiedy na plaży zaczną gromadzić się surferzy, czyhający na kilkumetrowe fale.

Wtedy jest już 27. grudnia, ale większość ludzi ani myśli iść do pracy. To przecież czas urlopów, wakacji i środek upalnego lata...

wspomnienia i relacje zebrała
Iwona Pawłowska

Ginący zawód - stolarz

W stolarni **Władysława Kęski i jego syna Pawła** wchodzących klientów owiewa od razu silny, bardzo przyjemny zapach drewna. Pomieszczenie jest bardzo obszerne, acz nieco mroczne. Po kątach porozstawiano przeróżne przedmioty. Jakieś deski szersze i węższe, kantówki, listewki, resztki płyt, drewna, fragmenty niedokończonych wyrobów i mnóstwo innych, nie do końca zidentyfikowanych przedmiotów. Na środku stoi kilka dużych maszyn do obróbki drewna. Wyglądają porządnie i groźnie ze sterczącymi dużymi kołami zębatymi. Lepiej się do nich za bardzo nie zbliżać. Niektóre z nich pamiętają jeszcze wiek pary i elektryczności, a „jeszcze działają, i to dobrze!" - twierdzi ich właściciel. Na wszystkich ścianach poumieszczano w określonym (chyba optymalnym) porządku ręczne narzędzia. Widać dziesiątki dłut, obcęgów, młotków, strugów, miar, ręcznych pił, zapasowych kół zębatych i innych tajemniczych narzędzi. Tu i tam rozwieszono na ścianach dyplomy i inne uprawnienia do wykonywania zawodu. Na wszystkim osiadł wszechobecny jasny pył rżniętego drewna.

Z głównego pomieszczenia przechodzi się do mniejszego, z którego bucha gorące powietrze. To suszarnia, która służy do szybkiego wykańczania pomalowanych i polakierowanych wyrobów. Tutaj, dookoła centralnie umieszczonego pieca, stoją gotowe wyroby stolarskie. Przeróżne półki, parapety, kwietniki, skrzynki, i wiele innych przedmiotów wykonanych wyłącznie z drewna. To magiczne miejsce, gdzie królują Władysław i Paweł Kęskowie. Pochodzą z rodziny, w której od pokoleń wykonywało się ten zawód.

*

Jana Kałuża: - Kiedy zaczął się pan interesować stolarką?

Paweł Kęska - Moja przygoda ze stolarką zaczęła się już w podstawówce. Wtedy zrobiłem gitarę z drewna, która niestety nie brzmiała. Był to tylko kształt instrumentu, bez niezbędnych strun i innych akcesoriów. Następną rzeczą wykonaną przeze mnie z drewna był drewniany pistolet . Chociaż nie można było z niego strzelać, zazdrościli mi go wszyscy koledzy.

Jana Kałuża: - Co jeszcze pan zrobił z drewna jako dziecko?

Paweł Kęska - Następnie był wózek, żeby móc zjeżdżać ze złotoryjskich górek. Wózek musiał być na tyle duży, żeby mógł się tam zmieścić kilkuletni chłopiec. To była wyższa szkoła jazdy. Koła miały łożyska, więc mogły swobodnie się poruszać. Byłem z niego dumny i oczywiście zjeżdżałem na nim z górek. Robiliśmy wyścigi z kolegami. Inni też mieli wózki, więc rzecz polegała na tym, żeby jechać szybciej.

Jana Kałuża: - Czy szkołę średnią wybrał pan zgodną ze swoimi zamiłowaniami?

Paweł Kęska - Wtedy w obrębie powiatu złotoryjskiego nie było szkół stolarskich. Najbliżej Złotoryi szkoła meblowa była we Wschowie. Tam skończyłem zawodówkę w klasie stolarza. Moją pracą dyplomową, wykonaną wspólnie z koleżanką na koniec szkoły, był drewniany stojący kwietnik ze szklanymi podświetlanymi półkami. Był to wyrób na owe czasy dość nowoczesny. Muszę się pochwalić, że nasza praca została wyróżniona.
Potem, aby uzyskać średnie wykształcenie, poszedłem do technikum budowlanego w Legnicy.

Jana Kałuża: - Czy w technikum urwał się panu kontakt ze stolarką?

Paweł Kęska - Oczywiście nie! Jako uczeń szkoły średniej byłem dość przedsiębiorczy. Zacząłem na zamówienie wykonywać galanterię drewnianą. Były to kwietniki, półki, ramki, i tym podobne rzeczy. Zamówień było bardzo dużo. Zarabiałem tyle, że byłem w stanie sam się utrzymać. Uważałem się za bogatego człowieka! Muszę się przyznać, że czasami nawet urywałem się z lekcji, żeby sprostać zamówieniom.

*

Wkrótce Paweł Kęska dostał się na wymarzone studia - budowa dróg i mostów. Niestety, choroba w rodzinie nie pozwoliła na ich kontynuację. Jednak nie zrezygnował z nauki. W wieku 21 lat zrobił kurs pedagogiczny, dzięki czemu mógł zatrudniać uczniów. Lubił to zajęcie, miał dobry kontakt z uczniami. Na zakończenie kursu najlepszym uczniom fundował nagrody.

Momentem zwrotnym w karierze zawodowej Pawła jest rok 1991, kiedy przejmuje po ojcu zakład stolarski, który prowadzi do dnia dzisiejszego. Zaczynał od najprostszych narzędzi: wiertarka, piła, młotek, strug, dłuto, metrówka. Wkrótce nadeszło pierwsze zamówienie. Zakład zaczął się dynamicznie rozwijać.

Dziś Paweł Kęska świadczy usługi dla osób fizycznych, różnych firm i urzędów. Współpracuje z przychodnią zdrowia, przedszkolem przy ul. Górniczej, Bractwem Kopaczy Złota, z burmistrzem miasta, starostą, domem kultury i z zamkiem Grodziec. „Zleceń jest więcej, niż czas na to pozwala" - twierdzi stolarz.

*

Jana Kałuża: - Czy to prawda, że zawód stolarza jest w waszej rodzinie od pokoleń?

Władysław Kęska (ojciec Pawła) - Tak, stolarzem był już mój ojciec Stanisław. Mieszkał na wsi w okolicach Dęblina. To był samouk, ale bardzo zdolny, bo drewno jakby samo formowało się pod jego dłutem. Potrafił ujarzmić materiał. Wykonywał różne przedmioty codziennego użytku poczynając od młynków do kawy, poprzez beczki, łopaty po duże przedmioty jak wozy drabiniaste, beczki, kadzie i nawet koła do wozów.
Ja siłą rzeczy uczestniczyłem w tych pracach i tak się powoli nauczyłem zawodu. Gdy ojciec zachorował, przejąłem jego zakład i mogłem bez trudu realizować zamówienia.

Jana Kałuża: - Jak to się stało, że znalazł się pan w Złotoryi?

Władysław Kęska - W mojej miejscowości mieszkał pan Podolecki, który znalazł się w Złotoryi w latach 50-tych ubiegłego wieku. On właśnie przejął poniemiecką stolarnię i wtedy ściągnął mnie do pracy. Znał mnie jako dobrego fachowca. Pracowałem u pana Podoleckiego do momentu otwarcia własnej stolarni przy ul. Wojska Polskiego, która funkcjonuje do dziś. Obecnie zakład prowadzimy w zasadzie wspólnie: Paweł (mój syn) i ja. Ja tylko jako pomoc, natomiast Paweł jest pełnoprawnym właścicielem.

Jana Kałuża: - Były jakieś wyjątkowe zmówienia w czasie waszej działalności?

Paweł Kęska - Pewnego razu do zakładu nadeszło specjalne zlecenie od rosyjskiej ekipy filmowej, która kręciła film na zamku Grodziec. Zadanie dotyczyło wykonania trzech wielkich okien krosnowych o wymiarach ponad dwa metry. Okna te miały wyglądać na stare, takie jak inne w tym zamku. Musiałem uciec się do specjalnych technik, aby koloryt drewna był identyczny ze starym drewnem, również trzeba było dobrać materiał według układów słojów. To okno można oglądać obecnie na zamku.

Pamiętam, że kiedyś do naszej stolarni przyszedł obywatel holenderski. Zamówił kołyskę z drewna. Wybrałem drewno jak najlepszej jakości: z pięknymi słojami i bez sęków. Każdy stolarz wie, że sęk z czasem wypada, pozostawiając dziurę. Przyłożyliśmy się do tego razem z ojcem jak najlepiej, używając wszystkich naszych umiejętności. Gdy nasz piękny - według nas - produkt zobaczył zleceniodawca, stwierdził że to bubel i musiałem robić kołyskę od początku. Koniecznie z sękami! Według mnie to dopiero był bubel!

Jana Kałuża: - Pracuje pan w zasadzie cały dzień. Do południa przy Wojska Polskiego, a po południu w warsztacie przydomowym. Jest pan nieobecny w domu. Gdzie czas dla rodziny? Co na to żona?

Paweł Kęska - To nie jest tak! Gdy pracuję przy domu, cała rodzina uczestniczy wraz ze mną w procesie wytwórczym. Moje córeczki jedenastoletnia Maja i siedmioletnia Kasia najczęściej robią porządki. Zamiatają wszechobecne wióry, strużyny, pył drewniany i inne śmieci. Robią to z własnej nieprzymuszonej woli. Po prostu lubią mi pomagać. Moja żona Małgorzata jest prawie stolarzem. Struga deski, robi otwory, naturalnie na maszynach stolarskich. Muszę przyznać, że robi to fachowo. Ta pomoc nie jest całkiem bezinteresowna. Kiedy córeczki mnie proszą o zrobienie łóżeczka dla lalek czy innej zabawki, nie mogę im odmówić, chociaż czasami się to odwleka w czasie.

Jana Kałuża: - Pańskie największe marzenie?

Paweł Kęska - Chciałbym mieć nowoczesny, zmodernizowany zakład z porządnym parkiem maszynowym.

Jana Kałuża: - A dla siebie?

Paweł Kęska - Marzę o dłuższym wypoczynku pod palmami w ciepłych krajach razem z moimi dziewczętami.

Jana Kałuża: - Życzę tego panu serdecznie.

*

W dniu 9 listopada 2007 roku w Ośrodku Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej odbyło się otwarcie wystawy z cyklu ***„Ocalić od zapomnienia* - ginący zawód STOLARZ"** na przykładzie zakładu stolarskiego pana Pawła Kęski. Na otwarcie przybyli liczni przyjaciele, rodzina, znajomi stolarzy Kęsków, przedstawiciele Cechu Rzemiosł Różnych oraz inni złotoryjanie, interesujący się tego typu sprawami. Wystawę przygotowały Jana Kałuża i piszące te słowa przy bardzo dużym zaangażowaniu bohatera wystawy i jego żony Małgorzaty. Wystawę otworzył prezes TMZZ Aleksander Borys, a Jana Kałuża wygłosiła słowo wstępne.

Wystawa STOLARZ jest kolejną tego typu inicjatywą, podjętą przez działaczy Rady Programowej Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. W poprzednich latach takie wystawy miał szewc, zegarmistrz i krawcowa. Jednak były to mini wystawki, prezentowane tylko w Izbie Złotoryjskiej. Teraz zawód stolarza został pokazany w szerszym aspekcie, w holu Ośrodka Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej.

Na wystawie można zobaczyć różne gatunki drewna, inne materiały stolarskie, narzędzia oraz przedmioty wykonane przez pana Pawła i jego ojca. Niektóre z narzędzi pochodzą jeszcze z XIX wieku i stanowią cenne pamiątki rodzinne państwa Kęsków. Na wystawie zaprezentowano też obudowę zegara i koło od wozu drabiniastego, wykonane własną ręką dziadka Stanisława na wschodzie Polski, na długo przed II wojną światową. Wśród wyrobów są zabawki dla dzieci i przedmioty użytkowe. Wszystko - naturalnie - z drewna.

Szczególną ozdobą wystawy jest ekspozycja *Jak powstaje parapet - ciąg technologiczny*. Zwiedzający z zainteresowaniem oglądali kolejne fazy produkcji parapetu od żywej sosny poprzez wiele półproduktów do ostatecznego gotowego wyrobu. Dla wygody zwiedzających zostało to przedstawione w odpowiednio zmniejszonej formie.

Eksponatami wystawowymi są też liczne podziękowania od instytucji i urzędów złotoryjskich, stanowiące uznanie pracy Pawła Kęski i jego ojca Władysława.

Córki stolarza również mają swój udział w

wystawie. Siedmioletnia Kasia narysowała swojego tatę przy pracy w warsztacie, który jest w obowiązkowym niebieskim kombinezonie, a dziadek Kasi, pracujący z tatą, prezentuje duże okulary, które zawsze zakłada do pracy. Druga córka, jedenastoletnia Maja, opisała pracę swojego taty i historię zawodu stolarza w jej rodzinie.

*

Wystawę można oglądać do końca roku w holu Ośrodka Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej w siedzibie TMZZ przy ul. Szkolnej 1 w dni powszednie od godz. 9.00 do 16.00. Wstęp wolny. Grupy zorganizowane prosimy zgłaszać dzień wcześniej.

Agnieszka Młyńczak i Jana Kałuża

Przecieki z Biblioteki

10 lat minęło, czyli: jak zacząć i szybko nie przestać wydawać szkolną gazetkę?

Najważniejsze – zacząć. Jest wysoce prawdopodobne, że zapał wszystkich chętnych do pracy przy tworzeniu gazetki z czasem zmaleje. Nie każdy uczeń ma predyspozycje do pracy dziennikarskiej.
Z licznej początkowo grupy chętnych wyłaniają się osoby z realną chęcią prowadzenia gazetki. Na polu bitwy zostają najwytrwalsi. Tak też się stało w przypadku naszej gazetki i tak jest przy tworzeniu nowych zespołów w kolejnych latach naszej działalności.

Wypracowana została pierwsza koncepcja gazetki – informowanie społeczności szkolnej o inicjatywach biblioteki. Był to początek roku szkolnego 1997/98. Pierwsze numery gazetki informowały o konkursach zaplanowanych na nowy rok szkolny. Konkurs „A...B...C... wiedzy o książce i bibliotece" zainspirował nauczycieli bibliotekarzy i zespół redakcyjny do drukowania informacji z zakresu historii książki oraz zasad korzystania z biblioteki. Pomysł okazał się „trafiony". Wielu uczniom zdobyte wiadomości pomogły w osiągnięciu dobrego wyniku na konkursie.

Oczywiście nie obeszło się bez problemów organizacyjnych i technicznych. Niektórych zapewne zdziwi fakt, że w roku 1997 dostęp do komputerów mieli nieliczni uczniowie i nauczyciele, a w szkole nie było ogólnie dostępnego komputera. Dużą rolę przy tworzeniu gazetki odegrali rodzice, którzy pomagali w pozyskaniu papieru, powielaniu (drukowanie i kserowanie). Gazetka ma swoje logo, jedyne i niepowtarzalne, którego autorką jest pani Maria Marszula – nauczycielka plastyki.

Przez kolejne lata zmieniała się forma, sposób wydawania. Nowe możliwości przyniosła technologia komputerowa. Od roku 2000 uczniowie korzystają ze skanera i drukarki. Samodzielnie skanują zdjęcia, rysunki, przepisują teksty, wyszukują materiały w Internecie. Dzięki pracy w redakcji uczą się wykorzystywać komputer do realizacji określonego zadania. Należy pamiętać jednak, że uroda szkolnej gazety nie polega wcale na edytorskim profesjonalizmie. Dobra rada doświadczonej redakcji: róbcie taką gazetę, jaką możecie robić, na jaką pozwalają wam warunki. Czy ukaże się z precyzyjną regularnością, czy okolicznościowo – jako „nieregularnik", nieważne. Najważniejsze, że młodym ludziom chce się coś robić.

Główne informacje, które pojawiają się cyklicznie w „Przeciekach..." to:

- relacje z konkursów czytelniczych,
- prezentacja twórczości uczniów,
- wywiady, sondy,
- ciekawostki ze szkolnego podwórka.

Ciekawą rubrykę „Humory z naszych zeszytów" zainicjował jeden z zespołów redakcyjnych. Zamieszczane są w niej autentyczne „potknięcia" słowne naszych uczniów, np. „zimna wojna – to stosunek dwóch państw między, którymi toczy się niepokój". Takich i wiele innych odkrywczych teorii jest w gazetce dużo więcej.

Prowadzenie gazetki w szkole podstawowej wymaga dużego zaangażowania ze strony nauczyciela. Uczniowie na tym etapie edukacji nie posiadają jeszcze wystarczającej wiedzy i umiejętności , aby samodzielnie przepisać tekst, wykonać grafikę. Toteż stale doskonalą swoje umiejętności w tym zakresie zarówno nauczyciele kierujący zespołem, jak i uczniowie. Staramy się dla każdego nowego zespołu redakcyjnego, który zmienia się średnio co 4 lata, organizować spotkania i wycieczki do redakcji „Gazety Złotoryjskiej". Tam uczniowie zapoznają się zasadami współpracy w zespole redakcyjnym, ze sposobami pozyskiwania informacji, redagowaniem tekstów. Takie spotkania miały miejsce w 2003 roku, o czym wspomina na swoich łamach „GZ", 2003, nr 24 w artykule pt. "Dziennikarskie szlify".
Należy podkreślić fakt, że artykuł zamieszczony w „Przeciekach z biblioteki" naszych uczniów pt. „Niezwykłe znalezisko", został doceniony i znalazł oddźwięk w lokalnej prasie.

Ciekawym doświadczeniem dla redakcji było uczestnictwo w roku 2001 w warsztatach dziennikarskich zorganizowanych przez Gimnazjum nr 2 w Złotoryi. Efektem spotkania redakcji gazetek szkolnych z powiatu złotoryjskiego i czeskiego Mimonia z redaktorami „Gazety Wrocławskiej" i „Gazety Złotoryjskiej" było wydanie okolicznościowego numeru gazetki „Wieści ze Złotego Powiatu".

Obecny zespół przygotowuje materiały do pierwszego i drugiego wydania gazetki w tym roku szkolnym. Znajdzie się w nim n.im. wywiad z Romanem Kołtoniem, pochodzącym ze Złotoryi redaktorem naczelnym „Przeglądu Sportowego", komentatorem sportowym oraz Marcinem Szemiotem – Mistrzem Polski w Łucznictwie.

Wydawanie gazetki to czasochłonna i wymagająca sporej pracy działalność. Wydawnictwo szkolne stwarza okazje do wyrażania kreatywności i pasji twórczej zarówno uczniów i nauczycieli. Nasza gazetka stała się doskonałym środkiem do wypromowania biblioteki w środowisku oraz wśród uczniów mających „reporterskiego nosa".
Do licznej grupy takich uczniów należeli:
Bartosz Jeziorski, Michał Bucha, Ewelina Szwed – 1997/98;
Aleksandra Listwan, Michał Dyk, Bartosz Cwynar, Bartosz Mielnik – 1998; Natalia Pecyna, Małgorzata Stalska, Natalia Skoczylas, Anna Dominik, Magda Szewczyk, Kasia Strzelczyk, Kasia Strzelczyk – 1999-2003; Rafał Segda, Błażej Owsiany, Anna Karst, Marcelina Spychała – 2003-2007; Skład grupy redakcyjnej w roku 2007/08 – Martyna Mąkowska, Magdalena Pitura, Agata Siwak, Wilczyńska Magda, Spychała Marcelina, Marcela Żurawska.

Nauczycielki–bibiotekarki

Ostatnia taka lipa

Lipa w sile wieku, bo szacuję ją na ponad dwieście lat, dokonała swego żywota. Strawił ją ogień, a reszty dokonał jazgoczący łańcuch piły spalinowej.
24 listopada 2007 roku pańskiego około 23 godziny wyglądając przez okno, zobaczyłem rynek zasłany dymem. Po chwili było jasne, skąd się wydobywa. Paliła się nasza stara lipa.
Zadbałem o ciepły ubiór, a zbiegając klatką, powiadomiłem sąsiadów. Chwilę potem byłem już na ulicy. Dym nie miał zapachu palonego drzewa, lecz drażniący nozdrza odór tlącego się tworzywa sztucznego. Błyskawicznie podjechał wóz strażacki, byli też policjanci, którzy, jak wielu przechodniów o tej porze, żywo przyglądali się zjawisku. Strażacy, choć wyposażeni w profesjonalny sprzęt, zadziwili mnie i sąsiadujących gapiów swą opieszałością czy może brakiem woli walki z pożarem. To była akcja nader wnikliwie obmyślana w czasie jej trwania, co wpływało na tempo pracy strażaków. Nas, widzów uprawniało to do okrzyków, na które składały się „złote rady", nieczęsto złośliwe *jak najlepiej gasić ogień.* W tym samym czasie wnętrze lipy trawił ogień. Ubytek wody w wozie strażackim postanowiono zregenerować zawartością hydrantu. Tenże jednak się zawziął. A może mięśnie dwóch niepokaźnie zbudowanych strażaków odmówiły posłuszeństwa. Ci ostatni udali się w inne skrzydło rynku, gdzie poszukiwanie źródła wody zakończyło się sukcesem – płótno węża strażackiego naprężyło się pod ciśnieniem wody.
Nie mogłem sobie wybaczyć, że wychodząc z domu nie zabrałem kamery lub aparatu fotograficznego. Widok palącej się lipy był tak niezwykły, że długo nie mogłem pogodzić się z brakiem sprzętu.

Stare lipy posiadają w środku swego grubego konaru zbutwiałość lub pustkę, tworząc ogromnych rozmiarów rurę różnej wysokości. Nasza odzwierciedlała nieceglany komin dymny ze swymi typowymi właściwościami. Sporej wielkości otwór u podnóża zdał się paleniskiem początkowym (wstępnym). Impet powietrza, tzw. „cug" zadbał o dalszy rozwój sytuacji na korzyść ognia, który w tej walce nie pozostawiał swej ofierze żadnych szans. Był to okazały widok. Liczne otwory u wezgłowia wielkiego konaru – pozostałość po niegdyś poobcinanych gałęziach - ziały na przemian to ogniem, to dymem. Ktoś w grupie zadał głośne pytanie: *Czy to zimne ognie? Sylwester?*
Dramat, w którym lipa grała główna rolę osiągnął kulminację. Nadszedł czas na akt, w którym na scenie pojawia się, a raczej nań wpływa kolejny bohater, podejmując nierówną walkę z ogniem – to woda ze strażackiego węża.
Wreszcie ogień ustąpił. *Nic tu po mnie,* pomyślałem i naciągając głębiej czapkę na uszy, ruszyłem w kierunku mieszkania. Drzewo wyglądało równie dostojnie jak wcześniej, stygło parując okazale. Zastanawiałem się, czy przetrwa, jak silne ogień uczynił zniszczenia w jego wnętrzu, czy będzie w stanie się zregenerować, czy też chytry ogień wypalił mu duszę do cna.
Kwadrans po północy dobiegł mych uszu warkot piły łańcuchowej.
Ranek ukazał pełnię dramaturgii nocnego wydarzenia. W panoramie z okna mego lokalu zabrakło jednego elementu: niegdyś wyprostowanej, prężnie wspinającej się ku niebu, lipy. Pojawił się natomiast w to miejsce inny obraz: ta sama lipa zalegająca poziomo, nienaturalnie, poćwiartowana, bez ducha i wcześniejszego wyrazu cierpienia.

Niedawno przybyły, postawiony wbrew woli dużej części mieszkańców na centralnym zieleńcu, bar panoszył się bardziej niż zwykle. Teraz już nie musi konkurować o miejsce ze starą lipą.

Mietek Nieruchalski

Uczmy nasze dzieci szacunku dla ziemi

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Henryka Brodatego realizowała w bieżącym roku projekt edukacyjny pn. „Działalność Małego Centrum Informacji o Ochronie Środowiska i Ekologii" dofinansowany przez WFOŚiGW we Wrocławiu oraz Gminę Miejską Złotoryja.
Wniosek o dofinansowanie Gmina Miejska Złotoryja złożyła w maju tego roku.

Projekt prowadzony był przez Urząd Miejski w Złotoryi, a koordynowali go nauczyciele SP nr 3 i. H. Brodatego.

Efektami ekologicznymi realizowanego projektu Był między innymi Powiatowy Konkurs na hasło reklamowe i plakat dotyczący ekologii pt. „Mam wpływ na środowisko", w którym udział wzięły szkoły Powiatu Złotoryjskiego, ale także partnerskie szkoły z Czech, Niemiec oraz Wrocławia. Spośród 500 prac wyłoniono 27 nagrodzonych i wyróżnionych. Prace te zostały opublikowane w okolicznościowym kalendarzu na rok 2008 oraz wydanych z tej okazji broszurach.

Kolejne zadanie projektu to Powiatowy Konkurs Wiedzy o Ochronie Środowiska i Ekologii, który cieszył się dużą popularnością wśród uczniów, bowiem towarzysząca mu wystawa prac plastycznych, literackich i fotograficznych dotycząca przyrody oraz zorganizowana debata pn. „Czy człowiek może być dobrym gospodarzem Ziemi?", jak również oryginalna w swojej treści i formie prelekcja diapanoramiczna, prowadzona przez Przewodnika Sudeckiego – pana Piotra Norko, dostarczyły młodym mieszkańcom ziemi złotoryjskiej niezapomnianych wrażeń, a także uświadomiła, iż nasza okolica obfituje w piękne zakątki, których tak często nie dostrzegamy w dzisiejszym, zabieganym świecie.

Szkoła dzięki temu przedsięwzięciu zyskała nie tylko nowoczesny sprzęt audiowizualny, książki o tematyce przyrodniczej i ekologicznej, ale przede wszystkim zainicjowała tak potrzebne i pożądane działania, wśród społeczności lokalnej, na rzecz zrównoważonego środowiska, takie jak: segregowanie śmieci, oszczędność wody, energii i surowców naturalnych.

Szkoła Podstawowa nr 3 im. H. Brodatego w Złotoryi już w roku 2005 otrzymała tytuł Szkoły z Klasą oraz w 2006 r. certyfikaty: Szkoła Przyjazna Środowisku, Szkoła Przyjazna Lasom, tak więc realizując tegoroczny projekt kontynuowała rozpoczęte działania na rzecz promocji ochrony środowiska.

Obecnie placówka z niecierpliwością oczekuje na obiecane przez Urząd Miejski w Złotoryi pojemniki przystosowane do segregacji śmieci i … do dzieła, w którym teoria idzie w parze z praktyką. W prosty i dosadny sposób ujęła to uczennica klasy III a, SP 3 w Złotoryi, bo przecież „Człowiek z kulturą żyje w zgodzie z naturą".

Dyrekcja Szkoły Podstawowej nr 3 im. Henryka Brodatego w Złotoryi, nauczyciele oraz uczniowie składają serdeczne podziękowania:

- Wojewódzkiemu Funduszowi Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu;
- Urzędowi Miejskiemu w Złotoryi.

Beata Krzywicka

403 wigilijne spotkania w Rynku

Jest to debiut tematu śpiewów bożonarodzeniowych na łamach „Echa Złotoryi". Są dwa zasadnicze powody, dla których tematykę tę chciałbym przybliżyć czytelnikom „EŹ". Pierwszym jest ten właśnie, że w okresie pierwszego redagowania czasopisma (1989 – 1990) temat śpiewów dopiero dojrzewał we mnie i usiłowałem nim bezskutecznie - „zarazić" ówczesne władze; słowem, śpiewów jeszcze wówczas nie było. Drugi powód jest natury społecznej – wśród „siedmiu złotoryjskich mieszczan" zobaczyliśmy w Wigilię 2006 nie tylko burmistrza Złotoryi, lecz także starostę złotoryjskiego.

Na temat tej legendy, którą napisało życie, a która sięga do roku 1553, powstały już utwory literackie, pieśni, arie. Powstały też malowidła, z których najważniejsze są dwa. Pierwsze jest dziełem przedwojennego Goldbergera Petera Beckera, który „ostatnich siedmiu złotoryjskich mieszczan przedstawił na tle Kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Drugi obraz zawdzięczamy współczesnej złotoryjance Lidii Malickiej – jej „mieszczanie" śpiewają na tle starego złotoryjskiego ratusza. Z żadną z tych wersji nie należy polemizować i trzeba uznać je za prawdziwe i równoprawnie, gdyż tak naprawdę potomnym nie przekazano, w którym dokładnie miejscu zebrało się tych siedmiu mieszczan w roku 1553. Jest wysoce prawdopodobne, że burmistrzem, który wyszedł ze swojego mieszkania w Wigilię 1553 i zaśpiewał pierwszy, był ówczesny konsul (czyli burmistrz) - Laurentius Circler. Za złotoryjskim dziejopisarzem przyjmujemy również, że doszło do niego jeszcze sześciu innych mieszczan, i za tymże przyjmujemy także podane przez niego nazwiska. Od kilkunastu lat usiłuję znaleźć następców tych mieszczan, mieszkających obecnie na terenie Niemiec. Dotychczas udało się to jedynie w stosunku do dwóch osób – spośród nich szczególnie intrygująca jest postać Gottloba Helmricha, protoplasty Herberta Helmricha – obecnego przewodniczącego Fundacji Współpracy Polsko – Niemieckiej, wielkiego przyjaciela Złotoryi. Byłoby niecodziennym i niezwykłym wydarzeniem, gdyby na któreś ze współczesnych śpiewów udało się zaprosić potomków wszystkich tych siedmiu mieszczan. Jeśli już tyle się udało – to i w tym przypadku wierzę w końcowy sukces.

Śpiewy bożonarodzeniowe upamiętniają tragiczne wydarzenie ale upamiętniają zarazem fakt radosny – Złotoryja w 1553 roku miała wymrzeć prawdopodobnie całkowicie, lecz tych siedmiu ostatnich mieszczan należy przecież traktować jako promyk radosnej nadziei odradzającego się życia, co w noc wigilijną ma znaczenie i symboliczne szczególną. Kolejne pokolenia złotoryjan nawiązywały corocznie do tej wigilijnej nocy, spotykając się na złotoryjskim rynku i śpiewając świąteczne pieśni. Był czas, kiedy komponowano na tę okoliczność specjalne arie. Ostatnie spotkanie, już pod sam koniec II wojny, odbyło się w wigilię roku 1944.
Zatem do tego czasu odbyło się 391 takich spotkań; po II wojnie już 11(łącznie 402 spotkania – kto zna miasto z dłuższą tradycją śpiewów?). Najwartościowsze i godne podkreślenia jest nie tylko to, że jest to bardzo długa i piękna tradycja, ale może przede wszystkim to, iż były to spotkania o charakterze szczególnym. Na rynku spotykali się nie tylko protestanci, których w tym czasie w Złotoryi była zdecydowana większość, lecz także katolicy, a także przedstawiciele innych wyznań. Ziemia Złotoryjska nigdy nie była monolitem narodowościowym, co znalazło również odbicie w trakcie tych spotkań – spotkamy tu więc Niemców (na pewno najwięcej), Polaków, Czechów, Żydów i inne jeszcze narodowości. Nie było to także spotkanie wyłącznie zamożnych złotaryjan, i tylko Złotoryjan - tu przychodzili wszyscy; uczestnikami byli nie tylko mieszczanie, lecz także mieszkańcy okolicznych wiosek.

Wigilijny tygiel narodowościowy i społeczny stanowił największą wartość tych spotkań. Kiedy więc dane mi było bliżej poznać genezę tych spotkań, zakiełkowała we mnie myśl reaktywowania takich spotkań we współczesnych realiach złotoryjskich. Osobiście wychowałem się i wyrosłem w środowisku wielonarodowościowym polsko – czesko – niemieckim i noszę w sobie całe dziedzictwo tego pogranicza. Ludzie z mojej rodzinnej wioski byli różnego pochodzenia, lecz wzajemnie sobie pomagali i szanowali się; nikt nikomu do metryki nie zaglądał. W złotoryjskich spotkaniach wigilijnych „wyczułem" ten sam klimat życzliwości i tolerancji. I to był główny motyw mojego działania w kierunku odnowienia śpiewów. Krzątałem się wokół tego problemu już w latach 80.; usiłowałem „zarazić" tym problemem złotoryjskie władze, a także nauczycieli. O ile u tych ostatnich znajdowałem zrozumienie i poparcie, to przedstawiciele władz ustawiali się do sprawy negatywnie. Problemem dla nich było zrozumienie (a raczej jego brak), że tradycja śpiewów bożonarodzeniowych to piękna śląska tradycja, a nie tylko niemiecka. Zrozumienie przez niektórych, że „śląskie" nie równa się „niemieckie" stanowiło barierę nie do przekroczenia (i dla niektórych istnieje ona nadal).

Momentem przełomowym była rozmowa z nauczycielką SP nr 3, Sławomirą Trocką oraz ówczesnym burmistrzem Złotoryi, Kazimierzem Zwierzyńskim. Na kanwie nagromadzonych przeze mnie materiałów S. Trocka przygotowała scenariusz, który zrealizowała przy pomocy swojego szkolnego Kółka Dramatycznego, a w głównej roli „konsula" obsadziła burmistrza K. Zwierzyńskiego. W klasycznym dramacie obowiązuje zasada trzech jedności: miejsca, akcji i czasu. Z tych trzech można było wówczas zrealizować tylko jedną: jedność akcji. Wynikało to z tego, że nie było możliwe przy pomocy młodzieży szkolnej zrealizowanie scen historycznych w noc wigilijną oraz na rynku. Wielką pomoc okazał w tym czasie dyrektor Zbigniew Gruszczyński, który nie tylko udostępnił hol ZOK-u ale pomógł dostosować go do scenariusza.

Po uwzględnieniu różnych okoliczności uznano, że pierwsze przedstawienie powojennej wersji śpiewów może się odbyć w dniu 6 stycznia 1995 roku (w święto Trzech Króli). Reżyserka wplotła dwa istotne wątki historyczne, które także obecny reżyser (od roku 1996), Z. Gruszczyński, również zachował: nagrany głos najstarszych dwóch złotoryjskich dzwonów oraz śpiew burmistrza, który „zaśpiewał jako pierwszy". Istotnie, K. Zwierzyński nie wykazał żadnej ksenofobicznej postawy wobec dawnej tradycji i bez tremy i jako pierwszy w powojennej tradycji zaintonował kolędę „Wśród nocnej ciszy". I ta kolęda „obowiązuje" w trakcie kolejnych śpiewów. Motyw literacko – poetycki do pierwszych śpiewów zaczerpnięto z poezji ks. J. Twardowskiego: „Zaśpiewaj, zakoleduj nam kolędo" (również nadal go zachowano).

Należy podkreślić, że ani S.Trocka, ani Z. Gruszczyński nie powielili przedwojennej tradycji śpiewów – każdy z nich stworzył własną wizję, nawiązując do trochę legendarnych, lecz jednak historycznych realiów i wydarzeń. Wspomniano wcześniej o konglomeracie narodowościowym Ziemi Złotoryjskiej. Nawiązano do tego w trakcie drugich śpiewów, również w ZOK-u (5 stycznia 1996). Wystąpiły wówczas wszystkie zespoły śpiewacze ze Złotoryi oraz narodowościowe grupy folklorystyczne Ziemi
Złotoryjskiej: ukraińska, łemkowska, serbo - łużycka oraz grupa mniejszości niemieckiej z Legnicy. Najwartościowszym momentem tych śpiewów okazały się nie występy zespołów na sali widowiskowej, lecz spotkanie na holu i wspólne odśpiewanie w różnych językach ale jednocześnie - „Cichej nocy". Nowym elementem historycznym było pojawienie się, po raz pierwszy, obok burmistrza sześciu dalszych „mieszczan" – cała siódemka wystąpiła w sędziowskich togach imitujących stroje mieszczańskie.

Te dwa spotkania w ZOK-u stały się przysłowiowymi drożdżami.
Wykorzystując te doświadczenia, Z. Gruszczyński wspólnie z Polskim Bractwem Kopaczy Złota oraz przy pomocy Urzędu Miejskiego, a także ks.
prałata Mariana Sobczyka, po raz pierwszy zorganizował śpiewy w otwartej przestrzeni i pod gołym niebem – w Wigilię roku 1996.
W ten sposób w roku 1996 odbyły się właściwie dwa spotkania: jedno – 5 stycznia w ZOK-u oraz drugie - w Wigilię, na Rynku przy
22 stopniach mrozu. Praktycznie oznaczało to, że po pięćdziesięciu latach przerwy (od 1944) śpiewy bożonarodzeniowe wróciły na swoje dawne miejsce. Spotkanie nazwano „Złotą Wigilią".

Rok 1996 stanowi zatem cezurę również dlatego, że te dwa spotkania w jednym roku (w ZOK–u i na Rynku) zapoczątkowały kontynuację śpiewów bożonarodzeniowych w wigilię i na Rynku, zaś śpiewy styczniowe w ZOK – u
(1995 i 1996) również są kontynuowane w formie noworocznych koncertów kolęd w wykonaniu Chóru Nauczycielskiego „Bacalarus" – czasem wspólnie z zaprzyjaźnionymi innymi chórami. W tym względzie należy przede wszystkim przypomnieć koncert ze stycznia 2001. Koncert miał zasięg euroregionalny i charakter ekumeniczny. W Kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny wystąpiło wtedy pięć chórów reprezentujących cztery narodowości:
Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Czesi oraz trzy wyznania: katolicy, protestanci i prawosławni. Zwieńczeniem spotkania było wykonanie w prezbiterium przez wszystkie chóry (ponad 150 osób) „Cichej nocy". Był to najbardziej poruszający i fascynujący moment tego niezwykłego koncertu.

W roku 1996 wydawało się, że nic i nikt nie jest w stanie przeszkodzić kolejnym spotkaniom . Nastał jednak rok 1998 i wybory samorządowe oddały władzę w Złotoryi przedstawicielom lewicy. Nie musiało to jeszcze niczego złego oznaczać dla samej organizacji spotkań, gdyż nowy burmistrz był za kontynuacją tradycji. Stało się jednak inaczej, ponieważ bardzo krótko przed Wigilią, Bractwo wycofało się z uczestnictwa i nad spotkaniem zawisła groźba ich zerwania. Że jednak do tego nie doszło, można zawdzięczać w równej mierze burmistrzowi J. Kluzowi, ks. prałatowi M.Sobczykowi oraz Z. Gruszczyńskiemu – mobilizacja ludzi, sił i środków uratowała tę piękną tradycję. Widomym znakiem inności tego spotkania była tylko zmiana jego nazwy: zamiast „Złotej Wigilii" pojawiła się nowa - „Wigilia w Rynku"; scenariusz pozostał niezmieniony.

Dla złotoryjan obserwujących scenę polityczną widoczne było, że władze miejskie skutecznie rozmijają się z powiatowymi. Pierwszą jaskółką, że może być inaczej, było otwarcie hali sportowej przy Szkole Podstawowej nr 3 (2004 rok), kiedy to burmistrz I. Żurawski po raz pierwszy pojawił się w towarzystwie swojego lewicowego poprzednika - J. Kluza. W wigilię A. D. 2006 u boku burmistrza dostrzegliśmy starostę – R. Raszkiewicza i jeśli dobrze znam życie, to rolę „mieszczanina" zaproponował mu pewnie „konsul". I świetnie! Nie należy do dobrego zwyczaju cytowanie samego siebie – jednak zdecyduję się na to. Otóż, w jakimś wywiadzie lub artykule na temat śpiewów wigilijnych wyraziłem pogląd, że chciałbym dożyć czasu, gdy odbędzie się „Złota Wigilia w Rynku". Była to aluzja i wyraźna sugestia, ażeby te spotkania organizowały wspólnie wszystkie siły społeczne (przypomnę: Kopacze organizowali "Złote Wigilie", zaś lewica rozpoczęła „Wigilie w Rynku"). Chcę wierzyć, że czas taki właśnie nastał. Wigilijne spotkania nie są bowiem imprezą, lecz refleksyjnym spotkaniem o szczególnych walorach i charakterze. Dlatego ufam, że burmistrz i starosta nie odegrali li tylko przewidzianej w scenariuszu scenki historycznej. Ich przełamanie się opłatkiem w obecności tłumów złotoryjan, rozumiem jako zapowiedź dobrego roku (i lat) rzetelnej współpracy w interesie mieszkańców Złotoryi i Ziemi Złotoryjskiej. 402 spotkanie wigilijne może więc też oznaczać po prostu: zapowiedz normalności.

Weihnachtssingen, Ringsingen (do II wojny); Zaśpiewaj, zakoleduj nam kolędo (1995, 96); Złota Wigilia (1996, 97); Wigilia w Rynku (od 1998) – oto różne nazwy tego samego wydarzenia w różnym czasie. Czasy się zmieniają i ludzie się zmieniają – Złotoryja trwa. Trwa również tradycja. 402, a nawet 403 wigilijne spotkanie – jakie miasto może się równać ze Złotoryją? Do siego roku!

Alfred Michler

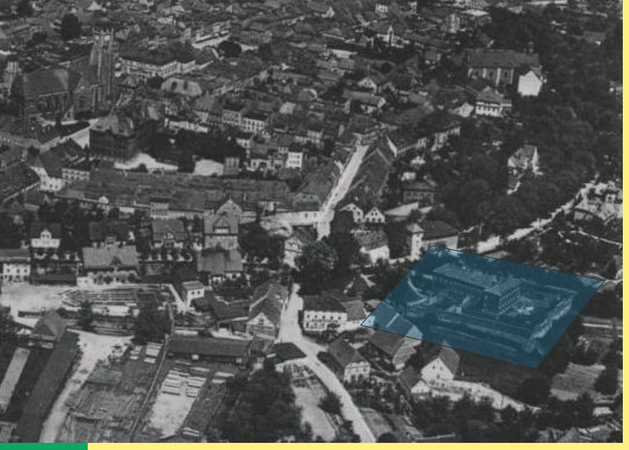

Złotoryjskie więzienia

Właśnie minęła dwieście dwudziesta rocznica oddania do użytku nowoczesnego jak na owe czasy więzienia w naszym mieście. Jego budowę rozpoczęto w 1886 r. a już od 1 grudnia 1887 r. jego podwoje stały otworem głównie dla mieszkańców powiatu złotoryjskiego. Potężny dwupiętrowy budynek w kształcie litery L, wzniesiony z czerwonej cegły, stanął przy dzisiejszej ulicy Stanisława Staszica. Wokół gmachu rozciągało się obszerne podwórze z kilkoma niewielkimi zabudowaniami gospodarczymi. Całość otaczał wysoki ceglany mur na kamiennym fundamencie. Jego wysokość powiększał dodatkowo stromo opadający teren od strony dzisiejszej ulicy Dolnej. Z dosyć skąpych informacji źródłowych można wnioskować, że większość pensjonariuszy odsiadywała tutaj raczej niewielkie wyroki. Trafiali do niego niekiedy znani w mieście recydywiści jak złodziej o nazwisku Burchardt – wiemy o tym z lokalnej prasy, która w czerwcu 1914 r. podała, iż został on przeniesiony z więzienia do szpitala z powodu koniecznej obserwacji jego zdrowia. byli następnie kierowani także inni nasi przestępcy. W opuszczonym budynku zainstalował się Urząd Katastralny. Przed 1945 r. mieściła się tutaj również kuchnia i stołówka, służąca biednym i bezrobotnym, głównie podczas wielkiego kryzysu gospodarczego (1929–1933). Po wojnie do gruntownie przebudowanego gmachu, który stracił więzienny wygląd, wprowadził się w 1961 r. Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Janusza Korczaka. Od dwóch lat istnieją tutaj również Warsztaty Terapii Zajęciowej. Z otoczenia zniknął więzienny mur, pojawiła się natomiast sala sportowa. W jej pobliżu przyciąga uwagę ponad 200-letni dąb szypułkowy o obwodzie 400 cm, chroniony jako pomnik przyrody.

Więzienie przy ul. Staszica było ostatnim ale nie pierwszym takim obiektem w Złotoryi. Niestety nie wiemy, gdzie trafiali skazańcy u zarania dziejów miasta, gdy nie było jeszcze murów obronnych. Najpóźniej od XV wieku kierowano ich do Baszty Kowalskiej, o czym mówią historyczne przekazy. Więźniowie zatrudniani byli przy różnych pracach, zwłaszcza rzemieślniczych, ale głównie przy obróbce drewna w tartaku. W więzieniu można było zamawiać drewno opałowe, które następnie dostarczane było przez więźniów wozami do domów. Pod koniec lat dwudziestych ubiegłego stulecia okazało się, że więzienie wymaga coraz większych nakładów finansowych. Zakład więc zamknięto a skazanych przeniesiono do Legnicy, gdzie

Baszta stanęła w połowie XIV stulecia i bardzo możliwe, że już od początku pełniła taką funkcję. W najniższym pomieszczeniu w baszcie odsiadywali wyroki między innymi prowodyrzy krwawych wystąpień w 1456 r., gdy wzburzony tłum powiesił dwóch rajców i zniszczył warsztaty rzemieślnicze przy ul. Kowalskiej (nazwanej po wojnie wbrew tradycji Basztową). W 1596 r. spadł z Baszty Kowalskiej nieznany bliżej mężczyzna, lecz nie wiemy, czy była to próba ucieczki z więzienia. Do więziennego lochu nie ma w tej chwili dostępu.

Ryciny z XVIII w. ukazują miasto otoczone murami obronnymi i basztami. Jedna z nich wznosiła się na wysokości dzisiejszych kortów tenisowych przy ul. M. Konopnickiej i nosiła nazwę „wieży więziennej”. Nic bliższego niestety nie potrafimy o niej powiedzieć. Została najprawdopodobniej rozebrana w drugiej połowie XIX wieku.

Jak już wielokrotnie pisano, więzieniem nigdy nie był budynek Muzeum Złota, nazywany w latach 1977–1997 Katownią.

Ostatnia sesja Rady Miejskiej w dniu 6 grudnia zdecydowała o przeznaczeniu odpowiednich funduszy na wykonanie projektu kompleksowej renowacji Baszty Kowalskiej. Jest więc okazja, aby pomyśleć o uatrakcyjnieniu wnętrza tego jakże ważnego dla miasta zabytku np. poprzez wykonanie otworu w stropie na wysokości wejścia. Przez owo „okienko”, zabezpieczone kratą, można byłoby spoglądać w więzienną czeluść dumając nad losem dawnych skazańców. A może udałoby się odtworzyć za pomocą manekinów odpowiednią scenę?

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Gdy samochodem zbliżamy się dzisiaj do Złotoryi doliną Kaczawy od strony Jerzmanic Zdroju, pierwszym zwiastunem miasta jest niezbyt malownicza betonowa ściana osiedla Nad Zalewem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu można było dostrzec z tego samego miejsca całkiem inny widok.

Na obu przedwojennych widokówkach zauważamy przede wszystkim wiatrak oraz niewielki, sąsiadujący z nim budynek. Wiatrak został zakupiony przez jednego z miejscowych młynarzy w Górze Śląskiej i przywieziony w 1859 r. Jak wynika ze starych planów miasta oraz innych fotografii, stanął dokładnie między dzisiejszą przychodnią zdrowia przy ul. Kwiskiej a piekarnią przy ul. Górniczej. Wiatrak reprezentował typ holenderski, tzn. jego głowica wraz ze skrzydłami obracana była w kierunku wiatru.

Budowa mostu kolejowego ukończona została w roku 1895, gdy uruchomiono linię kolejową ze Złotoryi do Świerzawy.

Te dwa ważne dla miasta obiekty spotkał podobny los w 1945 r. Najpierw niemieccy saperzy wysadzili 11 lutego most a dwa dni później radzieccy artylerzyści zniszczyli wiatrak. Dwa lata później „żelazny” most został odbudowany a w 1974 r. tuż przy nim powstał sztuczny zalew, zasilany wodą przez młynówkę, zbudowaną jeszcze w XVI wieku. Natomiast o jakimś budynku w pobliżu ul. Warszawskiej (tak nazywała się najpierw ul. Górnicza) długo świadczyły resztki cegieł, drewna i kamieni.

Roman Gorzkowski

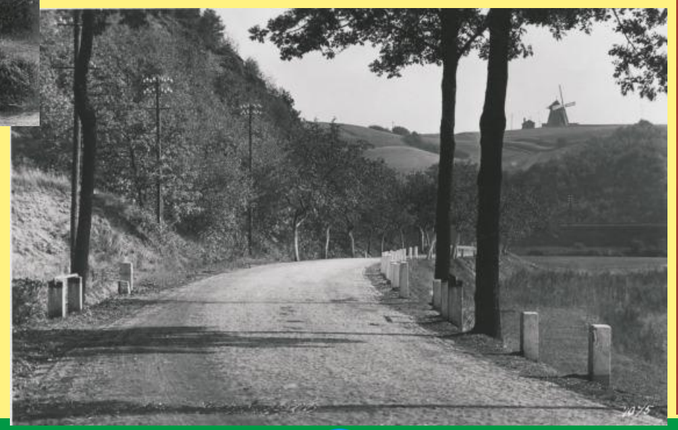

Trzęsienie ziemi w kościele Mariackim

Najsilniej odczuwalne w Złotoryi trzęsienia ziemi miały miejsce wedle tutejszych kronikarzy we wrześniu 1589 i 1590 r. W pierwszym przypadku spowodowało ono „rozejście się” i spękanie miejskich murów. Dłużej, bo aż 15 minut trzęsła się ziemia w 1590 r. ale szkody były mniejsze. Choć takie żywiołowe klęski były zawsze z uwagą odnotowywane przez złotoryjskich dziejopisów, to najważniejsi z nich „przegapili”(?) takie samo wydarzenie w 1677 r. Być może dlatego, iż było niewielkie a jego skutki rozłożyły się w czasie. A może doszło do niego już w 1676 r., jak chcą niektóre historyczne przekazy?

Na szczęście dysponujemy dość dokładnymi zapisami, dotyczącymi kościoła Mariackiego. To właśnie jego mury nie tylko pamiętają narodziny Złotoryi, ale noszą ślady wielu wydarzeń, ważnych dla miasta, Ziemi Złotoryjskiej a nawet całego Śląska.

Dnia 7 sierpnia 1677 r., około godziny 16 po południu, oderwała się część filara nad amboną i uderzyła w jej baldachim z taką siłą, że pozostała z niego tylko zewnętrzna obręcz. Ucierpiała także przednia część kosza kazalnicy. Był to najtragiczniejszy moment w dziejach ambony, która zdobiła wnętrze kościoła od 1584 r. Warto podkreślić, iż była ona pod względem ważności drugim po ołtarzu miejscem w kościele, ze względu na głoszone stąd Słowo Boże. Kilka dni później, 12 sierpnia, spadł niespodziewanie kolejny pokaźny kawałek filara i roztrzaskał ławkę przy organach. Wówczas zaczęto poważnie obawiać się o los niektórych fragmentów sklepień kościoła. Wiele wskazuje na to, iż wtedy także przechyliła się i wykrzywiła południowa ściana prezbiterium, czego śladami są przesunięcia murów w górnej części jego okien.

Władze kościelne i miejskie zareagowały błyskawicznie. Służący przy kościele duchowni, pastor Scholze (pochodził z Czech) i diakon Sperer (złotoryjanin) nie tylko zrozumieli powagę sytuacji, ale wykorzystali okazję, aby przeprowadzić nieco bardziej kompleksową renowację. Jednak główny ciężar prac wzięły na siebie władze miasta. Już 18 sierpnia zawarto umowę z mistrzem murarskim Christophem Keitsche z Wrocławia a dwa dni później z kowalem Georgiem Leischnerem z Kowar. Prace przewidywały przede wszystkim założeniem stalowych anker, czyli kotew, których najważniejszym zadaniem było spięcie zewnętrznych murów kościoła. Ustalono, że konieczne jest poza tym wzmocnienie i uzupełnienie fundamentów świątyni oraz sklepienia a także osobne sklamrowanie trzech filarów, które ucierpiały najbardziej. Uzgodniono wynagrodzenie wykonawców – ekipie murarskiej zagwarantowano kilkaset talarów i srebrnych groszy oraz pewne ilości piwa. We wrześniu i październiku 1677 r. mieszkańcy Wilkowa przywieźli z Kowar dziewięć odpowiedniej długości anker, z których trzy najdłuższe składały się z dwóch części, a miały być połączone bolcami. Długość kotew wynosiła ponad 206 łokci, czyli około 140 m, ich ciężar- ok. 4200 kg a koszt to 302 talary i 12 groszy. Warto dodać, iż nie było to jedyne zaangażowanie wilkowian w prace w kościele Mariackim. W XVIII wieku ufundują emporę(balkon) nad północną nawą boczną, aby gromadzić się tam na nabożeństwach (swego kościoła nie mieli aż do połowy XX wieku). Teraz można było przystąpić do bezprecedensowych prac, jakimi było przewiercanie na wylot potężnych filarów kościoła, przez które miały przechodzić ankry. Wewnątrz świątyni stanęły wysokie rusztowania. Kronikarze podkreślają, iż odbyło się to bez większych szkód, podobnie jak zainstalowanie kotew w prezbiterium. Przypuszczalnie zamurowano wówczas północne okna w prezbiterium, aby wzmocnić jego konstrukcję. W grudniu 1677 r. organista Edelmann

z Gryfowa założył w organach kilka nowych piszczałek i usunął część starych a rajca Härtel ufundował nowy baldachim ambony. Prace ciągnęły się do 1678 r., następnie wnętrze kościoła zostało pomalowane. Nieuwagę robotników wykorzystało trzech przestępców, którzy w 1678 r. okradli kościół. Zostali szybko schwytani i surowo ukarani: jednemu ścięto głowę mieczem, drugiego przed ścięciem połamano kołem a trzeciego przywiązano do kolumny i żywcem spalono.

Stalowe ankry, założone w XVII wieku, po dziś dzień spinają mury kościoła (proszę ich nie mylić z ankrami w nawie poprzecznej, które pochodzą z lat 1986-1992). Osobne skotwienie powyżej empor zachował również północny filar nawy głównej. Trzeba podkreślić, iż dwa lata temu odsłonięte zostały spod tynku dwa ważne elementy pochodzące z opisywanych lat. Powyżej organów, na okrągłym zworniku sklepienia nawy głównej, odkryto datę *1678* a w południowej nawie bocznej na przyściennym filarze za amboną ujrzała światło dzienne inskrypcja *GFS 1677*. Kto mógł się spodziewać, iż w XXI wieku w taki sposób wzbogaci się nasza wiedza o dokonaniach ludzi, którzy dawno już temu troszczyli się o największą złotoryjską świątynię?

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Atrakcje Gminy Świerzawa

Przed nami kolejna publikacja poświęcona największej gminie powiatu złotoryjskiego, wydana w 2006 r. przez

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Świerzawie. To bardzo przydatne kompendium wiedzy o stolicy gminy oraz jej miejscowościach: Biegoszowie, Dobkowie, Gozdnie, Lubiechowej, Nowym Kościele, Podgórkach, Rząśniku, Rzeszówku, Sędziszowej, Sokołowcu i Starej Kraśnicy. Wymienione zostały ważniejsze fakty historyczne, opisano zabytki, imprezy kulturalne i szlaki turystyczne. Dowiadujemy się, jak trafić do miejscowych twórców kulturalnych, klubów sportowych, gospodarstw agroturystycznych i innych miejsc noclegowych oraz przewodników turystycznych. Treść wzbogacają liczne barwne fotografie, mapa atrakcji turystycznych gminy a także schematy szlaków rowerowych.

Druk dwujęzycznego wydawnictwa wsparły fundusze unijne. W Polsce i u naszych zachodnich sąsiadów ma promować Perłę Gór i Pogórza Kaczawskiego, jak nazywają swoją gminę jej znawcy i miłośnicy.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Archiwalne zdjęcie, które tym razem prezentujemy, pokazuje kolejne miejsce w naszym mieście, które bardzo się zmieniło po 1945 r. Może Czytelnicy i tym razem rozpoznają obiekt na fotografii a także napiszą, co obecnie znajduje się w tym samym miejscu? A może ktoś zdoła rozpoznać postać, uwiecznioną na fotografii?

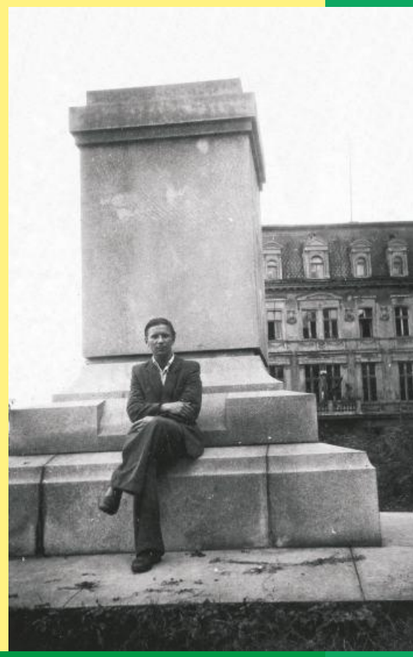

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023